

UMCS  
LUBLIN

- TYGODNIOWY PROGRAM TV ● Saksy w USA ● List do Polaków
- „CHCIAŁEŚ ZABIĆ RUMUŃSKĄ DUSZĘ” ● Polacy w Bukareszcie
- Tamten Lublin ● Wino i... ● Prześladowania chrześcijan ● „Cicho-
- ciemni” ● Katastrofa pod Krasnymstawem ● Co mówi ziemia?

TYGODNIK  
WSCHODNI

PL ISSN 0460-3830

# relacje

LUBLIN, 4-10. 01. 1990R.

NR1(51)

CENA 350 ZŁ

„Greenpoint uczy życia.  
I uczy Ameryki”

## NEW YORK TRANSIT

Waldemar Piasecki

(Korespondencja własna z USA)

LE razy pytam, ile mieszkańców liczy Nowy Jork, tyle razy dostaję smienne odpowiedzi. Piętnaście milionów? Dwanaście? Może dziesięć? O.k., czemu nie? Nawet kiedy o fotel burmistrza rywalizował Diakins z Gullianim, też nie byli przekonani do końca.

Mówi mi nowojorska znajoma, Mary Benedykcińska: „Wiesz, to miasto to jeden wielki tranzyt. Tranzyt ludzi, karier, pieniędzy. Szczęścia i nieszczęścia. Tranzyt życia”.

MARY pracuje w tranzycie na Wall Street. Jest jedną z dwóch Polek, jakie znam, próbujących walki na giełdzie nowojorskiej. Ojciec Marysi był żołnierzem Maczka. Ona — co rano — wychodzi do challenge'u w barwach „Drexel Burnham Lambert”. Musi walczyć nieźle, skoro, w ósmym roku tej roboty, jest vice president od Institutional Sales Department. Co to znaczy? Tyle, że na jej telefon oczekuje co rano wiele potężnych firm. Po nim zwykle zapadają decyzje o obrocie akcjami. Kręci się pieniądz. Od tego jest Wall Street. Tranzyt.

Marysia ma to, czego może zazdrościć jej wiele Amerykanek: sukces. Sukces, który zawsze pachnie tu dolarem, a dolar pachnie tak, jak wytworne sklepy w Trump Tower, po których szalała Maxi Amberville z serialu „Manhattan”. Mary ma swój sukces i nie musi błyszczeć odbitym blaskiem sukcesu męża, co jest ulubionym zajęciem Amerykanek, poza gadaniem przez telefon. Może dlatego córka pancerniaka spod Bredy i Arnheim nie ma męża? Może dlatego mówi mi: „Wiesz, jeszcze rok — dwa i zostawię Wall Street. Adoptuję dwoje polskich dzieci i dam im prawdziwą miłość i prawdziwy dom”.

Wtedy wyjedzie z Nowego Jorku. Jej tranzyt się skończy.

### W cudownym zawieszeniu

Andrzeja znam z czasów szkolnych. Chodziliśmy do II Liceum Ogólnokształcącego imienia Jana Zamojskiego w Lublinie. Fotografował, odkąd pamiętam, potem malował. Jego obrazy wisiały na ścianach klasy. Zawsze mówił o szkole filmowej w Łodzi. Dostał się chyba za trzecim razem. Na wydział operatorski. Skończył go. Zrobił kilka dobrych filmów, w tym wielokrotnie nagradzane w kraju i za granicą „Lanie światła”. Rzecz o ludzkości wytwarzających gigantyczne, wielometrowe świece, które może unieść w pionie tylko solidny osilek. Świece zapala się raz w roku dla uświetnienia uroczystości religijnych. Na ten dzień czekają wszyscy mieszkańcy wioski, a dla „lejących światła” jest to moment spełnienia.

Andrzej szukał spełnienia w Londynie. Był akurat osiemdziesiąty pierwszy. Wybuchła surrealistyczna wojna wystraszonych rekrutów przy kokosownikach, rogatek przy wjazdach do miast, „internatów” i poprzebieranych lektorów dziennika w telewizorze. Andrzej zmieniał wtedy restaurację arabską, gdzie był człowiekiem do wszystkiego, na posadę bar tendera w lokalu zdecydowanie odległym kulturowo od tamtego. Popracował

Ciąg dalszy na str. 4



Fot. Waldemar Stępień

## PIJĄC FALERNO...

# relacje

## ZE ŚWIATA

● George Bush objął urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych.

● Pod koniec stycznia inflacja w Brazylii wynosiła 933 proc. Prezydent Sarney zamroził ceny i płace, zwolnił 60 tys. urzędników.

● Plac św. Wacława w Pradze był w styczniu miejscem licznych demonstracji, organizowanych — jak określała prasa czeskosłowacka — przez „elementy antysocjalistyczne”. Żądano zmian gospodarczych i politycznych.

● Zgodnie z wcześniejszymi zapowiedziami, wojska radzieckie opuściły Afganistan.

● W marcowych wyborach deputowanych ludowych w ZSRR, Borys Jeltsyn uzyskał 89,4 proc. głosów, dystansując tym samym swoich rywali.

● Zona przywódcy Rumunii Nicolae Ceausescu, Elena była pierwszym zastępcą męża. Syn — Nicu — był wicepremierem i I zastępcą członka Politycznego Komitetu Wykonawczego KC RPK. Brat — Marin — pełnił funkcję szefa biura radcy handlowego w Wiedniu. Jeden z braci — Ilie — był wicepremierem obrony, zaś brat Eleny — tow. Petrescu — wicepremierem.

● Prezydent Bush ogłosił ośmiopunktowy program pomocy dla Polski.

● Michaił Gorbaczow złożył wizytę w Chinach. Podczas wydanego w Szanghaju bankietu na jego cześć, określił wizytę jako „wydarzenie epokowe”.

● Z węgierskiej sceny politycznej odszedł Janos Kadar, ostatnio przewodniczący węgierskich komunistów. Funkcję I sekretarza objął po straceniu Imre Nagy'a w 1956 roku.

● 4 czerwca oddziały chińskiej armii brutalnie zaatakowały strajkujących studentów na placu Tiananmen. Doszło do masakry. Liczba zabitych studentów szacowana na ok. 7 tys.

● W wieku 89 lat zmarł duchowno-polityczny przywódca Iranu — ajatollah Chomeini.

● Wyniki pierwszej tury wyborów parlamentarnych w Polsce wywołały żywe reakcje prasy zachodniej. Organ włoskich komunistów „Unita” pisał, że „przynajmniej zwycięstwo „Solidarności” sensacyjna porażka PZPR, ale także ogromny procent powstrzymujących się od głosowania, stanowią trzy oblicza wyborów i tworzą równocześnie dzisiejszy obraz Polski”.

● Trzysta tysięcy osób uczestniczyło w uroczystościach pogrzebowych Imre Nagy'a, premiera Węgier w 1956 r., oskarżonego w czasie sfabrykowanego procesu, straconego i potajemnie porzebanego przed 31 laty.

● „Demonstracja faszystowska” nazywała rumuńska prasa uroczystości pogrzebowe I. Nagy'a a organ KRLD — „Rondong Sinmun” — określił to „wydarzenie mianem „pogrzebu socjalizmu”.

● Zmarł Andriej Gromyko, długoletni szef radzieckiej dyplomacji i Janos Kadar, który dziś oskarżany jest publicznie na Węgrzech o zdławienie rewolucji w 1956 roku.

● Z oficjalna wizyta przebywał na Węgrzech prezydent USA George Bush. W trakcie wizyty ogłosił siedmipunktowy plan pomocy gospodarczej dla tego kraju.

● W stolicy W. Brytanii zmarł prezydent emigracyjnego rządu RP w Londynie Kazimierz Sabbat.

● Na Kubie wstrzymano kolportaż hiszpańskiej edycji „Moskowskich Nowości” i „Sputnika”.

● Rumunia odwołała ambasadora z Budapesztu po wywiadzie, jaki węgierska telewizja przeprowadziła z byłym królem Rumunii Karolem Michailem.

● Parlament czeskosłowacki zdecydowanie zaproteutował przeciwko uchwałom polskiego Sejmu i Senatu.

wyrażającym dezaprobatę wobec interwencji wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji w 1968 roku.

● Po wyborze T. Mazowieckiego na premiera brytyjski „Guardian” pisał: „T. Mazowiecki spotyka się z wielu stron z dobrą wolą, być może dlatego, że jego zadaniem jest niewdzięczne, a problemy społeczne i gospodarcze tak wielkie, ale napotyka też na wrogość z wielu kierunków. Według niektórych doświadczeń początkowo nawet L. Wałęsa był przeciwny jego nominacji”.

● Czechosłowackie „Rude Pravo” skomentowało wybór T. Mazowieckiego jednym zdaniem: „Ostatni gwóźdź do trumny socjalizmu w Polsce”.

● Prasa światowa określiła homilię prymasa J. Glempa, wygłoszoną na Jasnej Górze, jako „zachęcanie do antysemityzmu i gwałtu”.

● Na granicy węgiersko — rumuńskiej, 30-osobowa grupa polskich turystów została bestialsko pobita przez żołnierzy rumuńskich.

● Trwała regularna wojna rządu kolumbijskiego z kokainową mafia.

# RELACJE 1989

Opracował Zbigniew Dzieciołek

● Kierownictwo Rumuńskiej Partii Komunistycznej zwróciło się do kierownictwa partyjnych krajów Układu Warszawskiego i innych krajów socjalistycznych, by „wyrazić poważne zaniepokojenie oraz aby wspólnie zadziałać w sprawie zapobieżenia poważnej sytuacji w Polsce, w sprawie obrony socjalizmu i narodu polskiego”.

● Na gruzach WSPR powstała nowa Węgierska Partia Socjalistyczna.

● Po trwającym kilka miesięcy nieprzerwanym exodusie Niemców z NRD do RFN, za Odrą i Nysą nastąpiły zmiany. E. Honecker zrezygnował (ze względu — jak określono — na zły stan zdrowia) z pełnienia wszystkich funkcji partyjnych i państwowych. Nowym I sekretarzem NSPJ został Egon Krenz.

● „Tacy ludzie jak Vaclav Havel czy Jirzi Hajek to moim zdaniem absolutnie zera” — powiedział ówczesny premier CSRS Ladislav Adamec w wywiadzie dla austriackiej gazety „Der Standard”.

● Lech Wałęsa przebywał z wizytą w USA, Kanadzie i Wenezueli.

● T. Mazowiecki, jako pierwszy niekomunistyczny premier krajów Układu Warszawskiego złożył oficjalną wizytę w ZSRR. Oprócz rozmów, jakie przeprowadził z M. Gorbaczowem i N. Ryzkowem, odwiedził także Katyń i Starobielsk.

● Były długoletni I sekretarz KC Bułgarskiej Partii Komunistycznej Todor Ziwwow został usunięty ze składu KC. Opinia publiczna domagała się postawienia go przed sądem.

● Kolejny zjazd Rumuńskiej Partii Komunistycznej wybrał ponownie i jednocześnie na I sekretarza tow. Nicolae Ceausescu.

● Węgierska Partia Socjalistyczna nie wysłała swojego przedstawiciela na rumuński zjazd, PZPR reprezentował tow. Cypryńiak.

● Trwały demonstracje w Czechosłowacji. Rząd premiera Adamca podał się do dymisji. Ustąpił również I sekretarz KC KPCz Milosz Jakesz. Jego następcą został Karel Urbanek.

● U wybrzeży Malty odbyło się spotkanie M. Gorbaczowa z G. Bushem. Maltański szczyt oceniany był jako najważniejsze spotkanie radziecko-amerykańskie od czasu zakończenia II wojny światowej.

● W Berlinie spotkały się przedstawiciele „wielkiej czwórki”. Po raz pierwszy od 18 lat. Dyskutowano m.in. o przyszłości, ewentualnym zjednoczeniu obu państw niemieckich.

● Nowym I sekretarzem Niemieckiej Socjalistycznej Partii Jedności został Gregor Gysi, 41-letni adwokat berliński pochodzenia żydowskiego.

● Powstał nowy rząd w Czechosłowacji. Premierem został dotychczasowy wicepremier Marian Czalfa. W nowej ekipie po raz pierwszy od 1948 r. komuniści znaleźli się w mniejszości. Vaclav Havel zgodził się kandydować na urząd prezydenta. Dotychczasowy prezydent Gustav Husak podał się do dymisji.

● Zmarł Andriej Sacharow. Od wielu lat człowiek działacz opozycyjny w ZSRR.

● Parlament panamski ogłosił stan wojny ze Stanami Zjednoczonymi. Amerykanie rozpoczęli działania wojenne w tym kraju.

● Po krwawych starciach między demonstrantami a milicją i wojskiem (szacowano, że zginęło ok. 2 tys. osób). Rumunia zamknęła praktycznie granicę ze wszystkimi sąsiadującymi krajami.

Parlamentarnego został Bronisław Geremek, Klubu Poselskiego PZPR — Marian Orzechowski.

● Z oświadczenia J. Onyszkiewiczza, rzecznika prasowego KO „Solidarność”: „Solidarność była bardzo często oskarżana o to, że próbuje przedstawić siebie jako organizację o znaczącym poparciu społecznym, podczas gdy — jak mówiono — reprezentuje rzeczywiste niewielkie odłamy opinii społecznej w Polsce. Obecnie nie da się chyba tej opinii podtrzymać”.

● Z oświadczenia Z. Rykowskiego, z-cy rzecznika prasowego rządu: „(...) indywidualnymi decyzjami wyborczymi kierowała przede wszystkim emocja odreagowania. Otwarte pozostaje pytanie — czy suma tych indywidualnych decyzji jest wyrazem rzeczywistej woli zbiorowej społeczeństwa. Ja myślę, że nie”.

● Po ośmiu latach nieobecności wrócił na rynek wydawniczy „Tygodnik Solidarność”. Redaktorem naczelnym pozostał T. Mazowiecki.

● Wojciech Jaruzelski zrezygnował z kandydowania na urząd prezydenta i jednocześnie wysunął kandydaturę Cz. Kiszcza.

● „Wasz prezydent, nasz premier” nie jest żadnym rozwiązaniem — powiedział B. Geremek w wypowiedzi dla DTW, komentując artykuł A. Michnika zamieszczony w „Gazecie Wyborczej”.

● W Polsce przebywał z oficjalną wizytą prezydent USA George Bush. Była to pierwsza od 11 lat wizyta amerykańskiego prezydenta w Polsce.

● W sierpniu rozebrano w Lublinie pomnik B. Bieruta. Plac B. Bieruta pozostał bez nazwy, a ulicę jego imienia przemianowano na Lwowską.

● Grupa siedmiu Żydów wtargnęła do klasztoru karmelitanek w Oświęcimiu, protestując przeciwko lokalizacji tego obiektu na terenie byłego obozu zagłady.

● Wojciech Jaruzelski został wybrany przez Zgromadzenie Narodowe prezydentem Polski. Był jedynym kandydatem do tego urzędu. Oddano 544 głosy w tym 537 ważnych. Za kandydaturą W. Jaruzelskiego głosowało 270 deputowanych, przeciw 233, 34 wstrzymało się od głosu. Bezwzględna większość, potrzebna do wyboru prezydenta wynosiła 270 głosów.

● Nowym I sekretarzem KC PZPR został Mieczysław Rakowski.

● W trakcie tworzenia rządu przez sen. Czesława Kiszcza. L. Wałęsa oświadczył, że będzie zabiegał o stworzenie koalicyjnego rządu z udziałem „Solidarności”, ZSL, SD

● 62-letni polityk katolicki Tadeusz Mazowiecki otrzymał misję sformowania nowego gabinetu. Prezydent W. Jaruzelski zwrócił się do Prezydium Sejmu o zwolnienie Cz. Kiszcza z funkcji premiera.

● Po raz pierwszy w PRL w sposób jawny i uroczysty obchodzono rocznicę zwycięstwa wojsk polskich nad Armią Czerwoną w 1920 r.

● Sejm zaprobował skład rządu T. Mazowieckiego.

● „Czuję się w tej roli śmiesznie. To niesamowite, te gabinety, sekretarki. Speszylem się” — powiedział po pierwszym dniu urzędowania nowy minister pracy, płac i spraw społecznych Jacek Kuroń.

● Znany dziennikarz i filolog, wybitny znawca literatury rosyjskiej, działacz „Solidarności” Andrzej Drajewicz został mianowany prezesem Komitetu do Spraw Radia i Telewizji.

● W sierpniu średnia płaca w 5 podstawowych działach gospodarki wynosiła 241,6 tys. zł.

● W Polsce z oficjalną wizytą przebywał kanclerz RFN Helmut Kohl. Wydarzenia w NRD przerwały wizytę kanclerza na dwa dni.

● Dziennik Telewizyjny ukazał się w nowej wersji jako „Wiadomości”.

● Grupa posłów z OKP zaproponowała zniesienie świąt. 22 Lipca. Protestowało Biuro Polityczne KC PZPR.

● Zjednoczone Stronnictwo Ludowe uległo rozwiązaniu. Na jego miejscu powstało PSL — Odrodzenie.

● W wielu zakładach karnych w kraju miały miejsce bunty więźniów. Byli zabici i ranni. Straty materialne szacowano na wiele miliardów złotych.

● Zdemontowano pomnik Lenina w Nowej Hucie.

# relacje

## Z KRAJU

● Podczas drugiej części obrad X Plenum KC PZPR (16—17.02.) podjęto uchwałę w sprawie pluralizmu politycznego i związkowego. W praktyce oznaczało to m.in. możliwość relegacji „Solidarności”.

● Zmarł Józef Cyrankiewicz, wieloletni premier Polski.

● Rozpoczęły się obrady „okrągłego stołu”. Trzy główne tematy rozmów to: gospodarka i polityka społeczna, reformy polityczne i pluralizm związkowy.

● Po latach reaktywowano Stowarzyszenie Sybiraków. Jego prezesem został Ryszard Reiff.

● Przeciętne wynagrodzenie miesięczne w 5 działach gospodarki społecznej wynosiło w lutym 83,2 tys. zł, i w porównaniu z analogicznym okresem roku ubiegłego było wyższe o 64,7 proc.

● 5 kwietnia podpisane zostało porozumienie wieniące „okrągły stół”. W trakcie obrad ustalono m.in., że 400 miejsc w Sejmie, zostanie podzielone według następującego klucza: 60 proc. miejsc dla koalicji rządzącej (PZPR, ZSL, SD) 9,5 proc. dla organizacji katolickich, a 35 proc. dla bezpartyjnych. Wybory do reaktywowanego Senatu będą w pełni demokratyczne. Dotychczas Sejm przyjął pakiet prorożyci tworzących nowy kształt polskiej demokracji.

● Zarejestrowano NSZZ „Solidarność” i NSZZ „Solidarność” Rolników Indywidualnych.

● Lech Wałęsa stwierdził, że zdobycie przez „Solidarność” około 20 proc. mandatów w Sejmie i 50 proc. w Senacie będzie dużym sukcesem.

● Powstała pierwsza legalna gazeta opozycyjna „między Łabą, a Pacyfikiem” — jak pisała o sobie „Gazeta Wyborcza”. Redaktorem naczelnym został Adam Michnik, do niedawna uznawany za jednego z głównych przedstawicieli sił antysocjalistycznych w Polsce.

● 4 czerwca odbyły się wybory do Sejmu i Senatu. Wzięło w nich udział ok. 62 proc. uprawnionych do głosowania. „Solidarność” zdobyła prawie wszystko co było do zdobycia. Przewodniczącym Obywatelskiego Klubu

## Jest triumf, ale i płacz

**ELENA** Dutu-Język jest Rumunką, od 25 lat mieszka wraz z mężem, inżynierem chemikiem, w Puławach. Jest tłumaczką. W 71. uczestniczyła w wizycie Ceausescu na Ziemi Lubelskiej. Często odwiedza wraz z mężem Bukareszt, gdzie żyje jej najbliższa rodzina. Wybierali się na święta...

— Staszek namawiał: „Zabciu, pojedźmy”, ale maie jakby coś wstrzymywało. Nie czuję się dobrze. Serce — mówi z trudem Elena. — A kiedy to się stało, myślałam, że umrę. Żyję w Polsce, tu mój dom, mąż, ale Rumunia to moja krew, moja dusza i ciało. Sparaliżował mnie strach o bliskich. Zamówiliśmy rozmowę z Bukaresztem. Sześć dni czekaliśmy na połączenie. Nie jadłam, nie spałam. Płakałam. Przecież oni tam mieszkają w samym centrum miasta, niedaleko pałacu... Kiedy usłyszałam głos ojca i brata, że wszyscy cali — trochę odetchnęłam. Mówię, że chcę przyjechać... „Jest dużo problemów, nie przyjeżdżaj” — powiedzieli. Chcieli mnie oszczędzić.

Rano, jak zwykle, włączyłam w kuchni radio. Zrobiłam sobie kawę, zapaliłam papierosa. I wtedy usłyszałam, jak marszałek Kozakiewicz prosi o minutę ciszy, aby uczcić ofiary w Timisoarze. Pomyślałam: „czyżby trzęsienie ziemi?”. Wkrótce dowiedziałam się, co się wydarzyło naprawdę. To było 18 grudnia. Tego samego dnia Ceausescu wyjechał do Iranu. Spokojnie, jakby nic się nie stało. Tam szybko zrobili mu konferencję prasową, w czasie której dużo mówił o jedynie słusznej drodze dialogu z narodem, bez przemocy. Wrócił 21 grudnia i zaraz jego kamaryla zwołała wiec poparcia na Piątą Republikę. Szpilki by nie wetknął, tyle narodu... Ceausescu mówił wtedy o działaniu agentur szpiegowskich i elementów wywrotowych, godzącym w dobro narodu rumuńskiego. A pieski mu przyklaskiwały. I wtedy pękło. Ktoś krzyknął: „Precz z Ceausescu!”. Inni to podchwycili. Musiał przerwać. Nie słuchałam komentarza polskiego, lowiłam rumuński. Ceausescu powiedział tylko (nie tłumaczyła tego telewizja): „zawróćcie, towarzysze”. Odwrotu nie było. Tłum zafalował, pieski zaczęły strzelać.

Nie mieści mi się w głowie, żeby Rumun mógł strzelać do Rumuna. A on kazał strzelać! Do tych w Timisoarze, Bukareszcie... Do Rumunii! Pękło mi serce.

Pyta mnie pani, jak to się stało, że przez tyle lat Rumunia hodowała takiego tyrana. I dlaczego nie powstała wcześniej. Widzi pani, on wolniutko, krok po kroku ogłupiał naród. Hasłami o przyszłym dobrobycie.

Stanął na czele państwa w 65. Do 74. rzeczywiście podnosił stopę życia, więc ludzie go popierali. W 73., jak i inne kraje bloku wschodniego, wzięliśmy pożyczkę z Zachodu. Dla tej stopy, co miała się jeszcze bardziej podnieść. Hasłami betonował swoją dyktaturę. Naród dał się nabrać. Ceausescu stał się bogiem. A jak można bogu nie wierzyć?

Od 81. zrobiło się ciężko. Zaczęliśmy spłacać długi. Mówił: „zacinajmy pasy!”. Naród posłusznie zaciskał. Za wszelką cenę. Nawet głodu. Zniknęła żywność. Przerwy w dopływie prądu, gazu... Tłumaczył ludziom, że niekoniecznie muszą mieć lodówki, odkurzacze. Na rozprawie prokurator zapytał: „gdzie wystęłaś trud naszych chłopów?”. Odpowiedzi nie było. Tiry wywoziły mięso z Rumunii, nie wiadomo gdzie. On, za przeproszeniem, własne g... by eksportował. W 82. nie można już było dostać chleba, jajka, a mięso — marzenie ściętej głowy. A jak raz w miesiącu przywozili leki do aptek, do ustawały się takie kolejki, jakich w Polsce nie widziałam. Ludzie warowali pod sklepami noce i dni. Polacy mogą to zrozumieć. Ale przecież nikt w Polsce nie stał godzinami za chlebem...

Zagłodził naród. Ludzie ludzili się, że tak trzeba, wierzyli jeszcze, choć z trudem, że ich wyrzeczienia mają sens.

Naród zaczął się bać Securitate. Doszło do tego, że nawet w rodzinie człowiek nie miał zaufania. Nie wiedział, z kim rozmawia. Może z informatorem? Podobno co czwarty obywatel donosił. Ceausescu zbudował państwo policyjne. Dyktatura to przebiegła. Dobrze opłacał zamordyzm. Np. dla porównania dyrektor zakładu zarabiał około 7 tys. lei miesięcznie, a funkcjonariusz Securitate — ponad 12 tys. (ok. 200 dolarów). Nie mówię już o bezpłatnych, pięknie umebrowanych

mieszkaniami i wielu innych przywilejach, o których zwyczajnie niewolnik rumuński nie mógł nawet marzyć.

**S**ECURITATE. Sześć departamentów, w tym m.in. wywiad, kontrwywiad, a także — komanda specjalna. To one strzelały do ludzi; pozostała część służby bezpieczeństwa przeszła na stronę wojska i ludu. W oddziałach specjalnych są: Kolumbijczycy, Palestyńczycy, Syryjczycy i Libańczycy. Najemnicy. Niby na statusie studentów... Są i Rumuni. Specjalnie wyselekcjonowani, najczęściej sieroty bez rodziny. Ludzie — anonimowi. Komanda specjalna miała w rękach wszystkie punkty strategiczne kraju, w tym — tereny przygraniczne. Oraz magazyny broni. Dzisiaj radio Bukareszt podało, że ci wierni poddani dyktatora przeszli do Brasov, żeby ochraniać rezydencję Ceausescu. Brasov: teren górzyski, trudno dostępny... Mają amunicję i żywność więc — strach pomyśleć — mogą się trzymać latami...

# „CHCIAŁEŚ ZABIĆ DUSZĘ RUMUŃSKĄ”

Ewa Czerwińska

Co będzie, jeśli głodzonemu psu rzuci się raz kość?... Będzie liżał buty z wdzięczności. W ubiegłym roku Ceausescu ogłosił publicznie, że długi zostały spłacone. Ludzie ucieszyli się, że coś się zmieni.

We wrześniu 87. odbyło się referendum na temat ograniczenia zbrojeń. Ceausescu tłumaczył, że koszt produkcji jednego helikoptera równy jest kosztowi budowy jednej dzielnicy mieszkaniowej. Więc te 5 procent budżetu, przeznaczane dotąd na cele militarne, przydadzą się z pewnością gospodarce kraju. Naród spodziewał się, że te pieniądze pójdą po prostu na poprawę zaopatrzenia rynku. Nic z tego. Ceausescu zaczął budowę tej dzielnicy rządowej, w biało-czarnych marmurach, i autostradę o metr szerszą niż Pola Elizejskie. Nie na darmo nazywano go „budowniczym Rumunii”. Zrzucał bukiety bukareszteńską starówkę, zmienił nurt Dimbovity dla potrzeb metra, kontrolował budowę osiedli... Zamykał i burzył kościoły... Budował sobie betonowy pomnik. Wtedy, gdy na ulicach zebrali dzieci...

Pod hasłem „systematyzacja wsi” krył się szowinizm. Nie modernizacja (wieś jest taka, jak przed 20 laty — bez szpitali i szkół), ale polityka skłócenia, niszczenia, wykorzystania skupisk narodowościowych — zwłaszcza Węgrów i Sasów zamieszkujących Transylwanię (Timisoara; Sibiu, Cluj, Oradea, Baia Mare). Przesiedlał grupy etniczne według najgorszych stalinowskich wzorców. To doprowadziło do konfliktu — Węgrzy znienawidzili Rumunów i odwrotnie. Nienawiść doszła do zenitu jesienią 89. Byłam tam wtedy. Rumuni nie dostawali jedzenia w restauracjach przy granicy węgierskiej.

Elena Ceausescu — zły duch rumuńskiej kultury. Członek Biura Politycznego, wicepremier. Wielkie wpływy. Rząd nad duszami, propaganda w ręku. „Matka narodu”. Ona najlepiej wiedziała, co ma być wystawiane na scenie teatru, co w książkach, co w tv. Zlikwidowała wydział dziennikarstwa na uniwersytecie w Bukareszcie, przeniósła go do Akademii Politycznej, która znajdowała się pod jej bezpośrednim nadzorem. Systematycznie niszczyła kulturę, kwiata inteligencji. Zabroniła ludziom myśleć po swojemu. Rzucić na kolana, zniewolić — to był cel polityki rodziny Ceausescu.

Kamaryla chwaliła się, że nie ma u nas więźniów politycznych. Były za to lagry psychiatryczne (w Poiana Mare). Człowiek nagle stawał się wariatem... Znikali ludzie, całe rodziny... Wielu pozbawiano obywatelstwa.

„Nie to jest twoją najcięższą zbrodnią, że wykończyłeś gospodarkę, że zabijałeś ludzi — powiedział prokura-

tor na procesie — Ale to, że chciałeś zabić duszę rumuńską”...

Gdy wyjeżdżali z pałacu, on w limuzynie, z wielkim czarnym psem, ona w drugiej, z adiutantem, Bukareszt zamierał. Jak spod ziemi wyskakiwała obstawa z nadajnikami, snajpérzy, nie wolno było ruszyć nogą w tym czasie. Sama nieraz sterczałam nieruchomo przy jezdni. Od mieszkania moich rodziców przy Poiana Narciselor do pałacu niedaleko.

Dwie godziny dziennie, telewizji, z tego półtorej to wystąpienia Ceausescu. Ostatnio sprawiał wrażenie, jakby się zapominał. Gubił wątek. Wiek, choroby — miał podobno raka prostaty. Elena była chyba dominująca, choć starsza od męża. Zawsze elegancka (futro z lamparta, biżuteria). Aparycji przeciętnej — niska, chuda, niezgrabne nogi... Kiedyś państwo Ceausescu. i państwo Manescu wybrali się z wizytą do Paryża (Corneliu Manescu — wówczas minister spraw zagranicznych, obecnie — członek Frontu Ocalenia Narodowego). Pani Manescu bila o głowę panią Ceausescu — elegancją, znajomością języków, prezencją... Więc to ją gorliwiej obdarzano hołdami. Ale Elena nie znosiła konkurencji. W końcu Manescu wyładował na posiadzie w jakimś pegeerze...

Witałam Ceausescu w 71. na Ziemi Lubelskiej. Gierek zaprosił go na zjazd

dziecko na brzuchu matki... My Rumuni kochamy dzieci, czcimy macierzyńskość... Te trupy bezbronnych tak zabolowały Rumunów.

Ceausescu radził matkom rodzenie 5-6 dzieci. W 68. wyszedł ten słynny dekret, zabraniający usuwania ciąży. W każdym szpitalu położniczym była specjalna komórka prokuratora (lekarz i prokurator), która badała, czy ciąża jest nienaruszona. Kobiety zgłaszające się z krwotokami badano najgorliwiej. Zarzucano im próby skrobanki. Z drugiej strony — złe warunki życia, notoryczny brak leków, Ceausescu tłumaczył, że leków nie ma, bo nie ma dewiz. Prawda jest jedna: niszczyli najbardziej delikatnych, bezbronnych. Starców i dzieci. Dzieci rejestrowano dopiero po roku życia. Ile z nich przeżyło okres niemowlęctwa — nie wiadomo. W statystykach tego nie ma. Wiadomo na pewno, że od 44. do 89. przyrost ludności wyniósł zaledwie 1 milion.

Ceausescu fałszował także historię. Moja bratowa, Tania, jest historykiem. 2 lata temu pracowała w dziale dokumentacji Akademii Politycznej Stefan Cel Mare w Bukareszcie, obsługującym Biuro Polityczne. Mówiła o wielkim oburzeniu historyków, którym blokuje się dostęp do materiałów źródłowych w archiwach. Z oficjalnych podręczników miało wynikać, że największym, najgorętszym komunistą

partii. Pamiętam, że miałam trudności z przetłumaczeniem na polski słowa „poroże”. (Ceausescu opowiadał o jeleniu, którego zabił w Karpatach). Popatrzył na mnie surowo. Na bankietach siedziałam obok niego. Nic nie jadł, ani nie pił. Mówił. Nie miałam chwili odpoczynku.

Świat mógł wiedzieć o Rumunii? Tylko nieprawdę, bo działały — terror i dezinformacja. Ale kielich przelał się. Były bunty w kopalniach, hutach i fabrykach — skrętnie maskowane przez władzę. Robotnicy żądali wyższych płac, poprawy warunków życia. Ceausescu przyjeżdżał, deklarował, że spełni postulaty i wyjeżdżał. Potem były aresztowania, tajemnicze morderstwa... Dwa lata temu, jak strajkowali w Brasov, to kazał strzelać.

Ostatnio wprowadził przydziały miesięczne, za okazaniem dowodu: 20 kg wędliny, 10 jajek, 1 litr oleju, 1,5 kg cukru, 1 kostka masła (na pół z soją), 50 kg mięsa. Sera w ogóle nie było, ziemniaki jak orzeszki, drożdży ani fasoli od dawna nie widziałam. Przejętna emerytura — 1,5-2 tys. lei. Jak we wrześniu przywozłam moim bratankom krówki, to myślałam, że będą jeść razem z papierkami.

Wigilię przepłakałam. Staszek też. On, wie pani, mówi, że od 30 lat też jest Rumunem... Robił specjalizację w Bukareszcie, nawet proponował mu katedrę... On czuje razem ze mną.

Karpia wyrzuciłam do śmietnika. Stań! nam w gardle.

Wiele świąt Bożego Narodzenia spędziliśmy w Bukareszcie. Święta inne niż u was. Każdy zamyka się w domu, w strachu przed sąsiadem... Religia była u nas pod reflektorem.

U nas jest grekokatolicyzm. Piękne obrzędy. W wielkanocną sobotę przynosi się do kościoła trochę żywności do poświęcenia, zapala świece. Każdy zapala swoją i po mszy wraca z nią do domu. Nieraz zdarzało się, że w tłum wpadali bojówkarze i palowali. Tylko na pogrzeby było przyzwolenie. Jak umarli rodzice Ceausescu, to nawet trzech księży było. Telewizja transmitowała.

W Boże Narodzenie znów włączyłam radio rumuńskie. Usłyszałam, jak spiker głębokim głosem mówi, że w tym świętym dniu Bożego Narodzenia Antychrysta już nie ma... Pierwsze święto, które po tylu latach niewoli możemy obchodzić otwarcie... Bily dzwony, mnie stanęło serce. Puscili rumuńską koledę. Jak nigdy dotąd. I wie pani, co? Nie umiałam śpiewać. To okropne. Nie umiałam!

Nie ma „dębu Rumunii”, „geniusza myśli”, „Dunaju myśli”. Nie ma „matki narodu”... Pomyślałam: dlaczego tak szybko, dlaczego nie zrobił im procesu popisowego... Nawet miałam o to żal... Ale przypominałam sobie zdjęcia ofiar z Timisoary... To malutkie

był Nicolae Ceausescu. Fanatycy porównywali go nawet — o ironio — do Michaia Viteazula (Michała Walecznego), który walczył o zjednoczenie księstw rumuńskich.

Y Rumuni, nie mieliśmy łatwej historii. Z natury jesteśmy pogodni, lubimy się bawić, jesteśmy temperamentni, bliscy Włochom. Francuzom... Ale historia nie bawiła się z nami. Wolala krew.

Mieliśmy samodzielne państwo Daków. Swoją kulturę, skarby ukryte na dnie górskich rzek... Złoto i srebro. Ale Rzymianie potrzebowali naszego skarbu i chcieli złamać waleczność Daków. Wybuchła wojna. Lud musiał uciekać w góry... Trajan był silniejszy. Dostał głowę wodza Daków — Decebal. Przez 300 lat Dacja była kolonią rzymską...

Rumuni umieli walczyć. Z Munteunii — serca Rumunii wyszły dążenia niepodległościowe. W 1861 roku Aleksander Ion Cuza z Jassy zjednoczył księstwa rumuńskie. Wtedy po raz pierwszy, głośno i triumfalnie, Rumuni zaśpiewali i zatańczyli hora unirii (pieśń zjednoczenia). Teraz Front Ocalenia Narodowego chce, żeby to był hymn Rumunii.

... a potem II wojna... Partidul Comunist in Illegalitate walczy o wolność, przeciwko Niemcom, Siguranty i „żelaznej gwardii” (odpowiednik gestapo, finansowana przez Himmlera).

... i 23 sierpnia 44. Koniec rządów dyktatora Antonescu — współpracownika Hitlera. Król Michał, przy współpracy z partią komunistyczną, socjalistyczną i chłopską, zorganizował zamach na marszałka Antonescu. Wtedy nie było takiego rozlewu krwi, nie było Securitate. Król wystąpił z proklamacją antyfaszystowską. Bez pomocy Rosjan i aliantów Rumuni wycyścili kraj z band Antonescu. To była insurekcja wojskowa. Tak jak dziś. Tylko krwi mniej popłynęło...

Michał abdykował z godnością. Pozwolono mu nawet zabrać majątek. Ceausescu nie miał godności. Czuli się jak bóg. Do końca. A kto może podnieść rękę na boga?

W Rumunii jest takie powiedzenie: żeby go ziemia nie przyjęła...

Jest triumf, ale i płacz. Jest niepewność. Pyta pani, jak widzę jutro... Polacy byli cierpliwi. Szli powoli, punkt po punkcie. Rumuni są niecierpliwi, zachłanni. Chcieliby demokracji od zaraz. To, sądzę, nierealne. Ze nie będzie totalitaryzm — to pewne. Ale kiedy Rumunia osiągnie pełny spokój? Oni nawet nie wiedzą, jak można żyć inaczej. Tyle lat w kajdanach... Nasz naród jest stary. Mało młodzieży. To stara gwardia, przyzwyczajona do dawnego stylu myślenia. Teraz nie ma władcy, więc Rumuni mogą czuć się ogłupiali. Chcą wiosny, a tu pada śnieg... Ale wiosna przyjdzie.

# NEW YORK TRANSIT

Ciąg dalszy ze str. 1

dwa lata. Zapracował na białego mercedesa, z którego najbardziej był dumny ojciec Andrzeja w Lublinie, oraz na znakomitą znajomość win, czym szokuje do dziś wokół. Ot tak, wymienił niewinną uwagę na temat „Chateau Laffite” rocznik pięćdziesiąt dziewięć, na przykład. Przyjechał do kraju w osiemdziesiątym czwartym.

Spełniał się w filmach. Nie chciał iść na etat do żadnej wytwórni, bo wymyślił sobie, że musi być wolny i niezależny. Od kierowników, księgowych i w ogóle tak bardzo, jak może być posiadacz białego mercedesa. Kręcił wokół niezależnie. Wkrótce sprzedał samochód, bo jednak wołał robić filmy, a to kosztowało. Kupił „malucha” i dalej kręcił. Potem sprzedał i jego. Dalej wykładał na taśmie, montaż, produkcję. Tak jakoś pod koniec osiemdziesiątego szóstego zorientował się, że właściwie zostało mu tylko na bilet do USA. Ponagrywał swoje filmy na video i z trzydziestoma dolarami wsiadł do samolotu. Kilka dni później, w Wigilię, pokazywali w telewizji polskiej jego „Pastorałkę”.

Robił różne rzeczy. Najpierw w Chicago, ale krótko. Wylądował w Nowym Jorku. Tu przydały się kwalifikacje barmana. Odbił się finansowo na tyle, że kupił wspaniałego jeepa. Jeździ nim codziennie do pracy, ale już nie do eleganckiej, trzygwiazdkowej restauracji (jest takich w USA piętnaście), gdzie miał pięćset tygodniowo. Andrzej rzucił tę robotę. Znowu jest za kamerą. Tym razem w polskiej telewizji nowojorskiej. Polish TV Network, należącej do znanego tu bankiera — Polonusa Karczewskiego. Jest w swoim żywiole za trzysta dolarów tygodniowo. I to mu wystarcza.

Za rok — dwa Andrzej Dąbrowski chce wracać. W Kazimierzu finalizuje właśnie zakup kawałka ziemi, na którym coś będzie chciał postawić. I zostać. Powie mi: „Zabiorę stąd tylko jednego jeepa. Co mam brać więcej?”. Pozostaje w tym cudownym zawieszaniu między nastrojem ognistoczerwonej jesieni kazimierskiej, zapamiętanym na zawsze, a nocnym rozedrganym szaleństwem samochodowym któreś z alej Manhattanu, o której może ra pewno powiedzieć tylko tyle, że kiedyś przejeździe nią po raz ostatni. Wracając ze swego transytu.

## Nigdy więcej dziadów

Halina ma trzydzieści sześć lat. Pochodzi z Warszawy. Ma jasne, zapewne tlenione włosy, worek problemów i bardzo mało czasu. Halina wróciła właśnie z polskiej knajpy do Drugiej Alei, gdzieś pomiędzy Siódmą i Osmą Ulicą. Przyniosła dwie półlitrowe butelki spirytusu kupione po sześć dolarów od polskich marynarzy. Tamto. Teraz „tamto” spirytus sokiem pomarańczowym wyjętym z lodówki, czyli „frydżera”. Pierwszy drink — zachłannie szybki i nawykowo zamaszysty.

— O, w dupę jeża! Ale mocne... — odetchnie, rozluźni się.

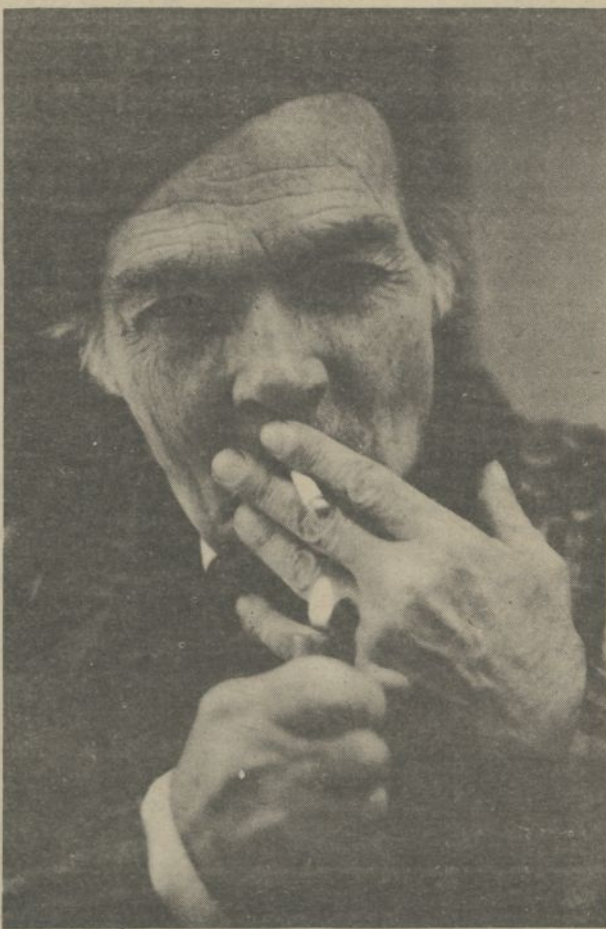
Jest tak. Halina skończyła ekonomię na UW. Ma dwójkę dzieci. Karolina — jedenaście lat, a Patrycja — osiem i pół. Do Stanów trafiła trzy lata temu. Sciągnęła ją koleżanka. Brała różne roboty. Zwykle szła do bachorów za jakieś dwie, dwie i pół setki tygodniowo. Potem do „dziadów”, znaczy staruchów, co bez przerwy leżą i trzeba im dupę podcierać. Ale to już za cztery „paczki”.

Miała trzech „dziadów” i wszyscy marli po kolei. Najdłużej wytrzymał ten z Brooklynu, czyli „Zydowa”. Była z nim siedem miesięcy i tydzień. Mówił po polsku. Opowiadał o przedwojennej Warszawie. I nic tylko chciał załatwić Halinie „zieloną kartę”, czyli stały pobyt. Rodzina „dziada” nie lubiła Haliny. Podejrzewali, że zechce się za niego wydać. Kiedy ją przyjmowali, nic nie powiedziała o mężu i dzieciach. Więc stary o tej „grinkarcie”, a córki na Halinę — spode łba.

Gdzieś po pół roku dziadek zebrał się w sobie i mówi: „Wiesz Halinko ja mam siedemdziesiąt siedem i nikogo na świecie. Córki tylko patrzają, jak by mnie odesłać na łono Abrahama i wziąć ten cały dom, nie mówiąc o koncie w banku i dwóch sklepach. Wiesz ty co? Zrobimy im niespodziankę. Weźmy ślub. Będziesz się żyła jak pani. A potem przecież tego nie zabiorę do grobu”.

Halinę zatkało, ale na krótko. Powiedziała starymu, żeby o tym zapomniał, bo zaraz zadzwoni i powie Ester, czyli starszej córce. To go ostudziło. Markotniał, gwałt w oczach. Którejś nocy zadzwonił na Halinę. Nim dobiegła do jego pokoju, już leżał na podłodze i charczał. Zadzwoniła do młodszej córki, a ona po pogotowie. Nim przyjechali, stary nie żył. Miał szeroko otwarte oczy i leżał w kałuży kału. Odtąd Halina powiedziała sobie: „Nigdy więcej dziadów”. Never.

Ciąg dalszy na str. 5



Fot. Waldemar Stępień

# MOŻE KTOŚ ZAWOŁA

Leszek Wiśniewski

**P**OZNAŁEM pana Rysia w sklepie, który prowadził przy Chopina. Przychodził tam często starzy lubliniacy. Czasem kupił słodycze, częściej, by pogadać o piłkarzach Unii, Zydach, stajni Budnego i ciastkach od Rutkowskiego. Przyniósł swoje rysunki; znałem je z „Kuriera” i książek Henryka Gawareckiego. Kupiłem jeden, czy dwa, gawędziłmy godzinę, czy dwie. Zachodził potem do mnie często: w szarym płaszczu, z rulonem pod pachą, w biskijskim berecie. Patrzyły spod tego beretu słwe — zawsze życzliwe i łobuzerskie oczy. Lubilem słuchać opowieści pana Rysia o ludziach niebytych, miejscach nie istniejących, odmienionych. Zawsze żywych, po sowizdrzalsku podkolorowanych, bo gawędził Ryszard Jaruga z istic wańkowiczowskim wdziękiem.

Umiałem wtedy słuchać, lecz jakoś tak nie do dziennikariku; a może też i czas był nie po temu, by pisać o rzeczach ciepłych, barwnych a odległych.

Potem, raz czy drugi zdarzyłem się z właścicielem baskijskiego beretu, a któregoś jesiennego popołudnia naclągnąłem pana Rysia na wspólne zwiedzanie jego pamięci; „do druku”. Pierwsze trolejbusy wtargnęły nam w tę włóczęgę, budząc ciszę starych zaułków...

**G**ORNA 3. Mieszkaliśmy tam z mamą na dozorostwie. Suterena nieprzeciętnie głęboka. Latem przy ścianie stała drabina, po której wychodziło się przez okno wprost na ulicę, bo przejście labiryntem korytarzy ciemnych i ponurych, było naprawdę nieprzyjemne. Kiedyś mama schodzi po tej drabinie, a dziecka nie ma. Znalazła mnie na rogu Górnej i Narutowicza, ganiającego w samej koszulce po chodniku, przy którym akurat demonstrowali robotnicy. Bo to było 1. albo 3. Maja.

Nie umiałem jeszcze dobrze mówić, ale już krzygotałem razem z tymi demonstrantami: „I ja, i ja!”.

Naturalnie dostaliśmy w skórę i na tym się skończyło. Podwórko pamiętam doskonale. Od frontu maleńkie wejście, wewnątrz kilka rachitycznych drzewek, komórki i kuchenne wejścia do domów. Ot, cały wąwóz między numerem 22 a Górną 3. Naprzeciwko, pod „czwórka” stała w ogrodzie piękna willa pani Łuszczewskiej: grusze, orzechy, jabłonie, ach... Upojny zapach bzu. Dziś z tego dzieciennego, zazdroznego rajku pozostały tylko lipy, zdziczałe bzy i rozrośnięta grusza.

Przy Górnej mieszkało bardzo dużo Żydów. Pod 9. na przykład Zandberg, w którego córce się podkochiwałem, a mieliśmy wtedy po osiem lat. Wyjechała potem do Warszawy i jej losy są mi nie znane. Właścicielem domu był Kuterman, wiecznie niewypłacalny. Mama zarabiała 50 złotych, ale nigdy nie mogła wydobyc całej sumy. Dawał po pięć, po siedem złotych. A i tak na mało co wystarzało. Głodny byłem nieraz, mama bolała nad tym. Mówiła: „Wolaj synku — zjem! zjem!, to ci się odechce”. I ja wołałem, ale wcale mi się nie odechciało. Tak, bardzo było ciężko. Chleb razowy, 10 groszy — pół kilograma, mleko — nie zawsze było stać na te 10 czy 20 groszy za litr. Tona węgla — 20 złotych, to było bardzo dużo i mama zносиła węgiel bogatszym lokatorom; dostawała za to wiaderko lub dwa. Potem było ciepło.

**M**ATKA. Była jedynym najprawdziwszym towarzyszem dzieciństwa. Nie chodziłem nigdzie, kto by tam zapraszał dziecko dozorczyni, a i ubrania kosztowały i, zimą zwłaszcza, szkoda było je niszczyć. Spędzaliśmy razem długie wieczory. Mama pochodziła z Lubartowa, dziadkowie byli unitami, ślub wzięli potajemnie, mieszkali naprzeciwko siebie, dla bezpieczeństwa. Ale i tak ktoś doniósł, wywieziono ich. Matka pieszo przywędrowała do Lublina, zajęła się nią na Lubartowskiej jakiś Kozak, potem szukała kąta u dobrych i złych ludzi... Nosila — sama sześciolatnia dziewczynka — na ręku małe dzieci. Była małą służącą. Opowiadała kiedyś, że pod Ratuszem stała studnia i płaciło się dwa grosze za wiadro wody. Ona po tę wodę chodziła, ale szła z Noworybnej, od państwa Nowińskich, gdzie służyła, do ogrodu księdza biskupa, który wodę pozwalał brać za damo. I tak zaoszczędzała. Dwa grosze...

Matka. Nie umiała pisać, jedynie drukowane litery. czytać nauczyła się sama. Nie zapomnę nigdy, jak jej ręka brała moją drobną rączkę, wodziła ołówkiem po papierze i wychodziły z tego pierwsze nieporadne figurki, lalki, literki. Opowiadała mi godzinami legendy, podania, umiała wiele patriotycznych pieśni. W kącie wokół rury kanalizacyjnej wilgoć rozlewała na ścianie plamy, z których tworzyłem sobie jakieś obrazy, wymyślałem przedziwne figury, postaci. Tak zostałem kolorystą. I tylko to okno na północną stronę przesładuje mnie do dziś, zawsze potem moje okna wychodziły na północ.

**S**ZKOŁA Cwiczeń. Chodziłem wpierw do szkoły publicznej na Dolnej Panny Marii, razem z dziećmi z najbiedniejszych rodzin. Bijatyki, łobuzerstwo, żadnej nauki. Podziwiam nauczycieli, ich poświęcenie dla tych dzieci z suterem i poddaszy. I wie pan, co? Myśmy nie bluźnili, byliśmy bardzo religijni, wielu służyło do mszy.

Kiedyś obrzucaliśmy się kamieniami z synem państwa Kraweckich z Górnej, spod 9. i oberwałem kamieniem w głowę. Krew się lala, guz potężny. Mama zaprowadziła mnie do państwa Kraweckich, pokazała

moją rozciętą głowę i pan Kraweckki załatwił mi potem naukę w Szkole Cwiczeń, w ogrodzie koło Bernardynów, tam, gdzie jest teraz WDK. To było coś w rodzaju seminarium nauczycielskiego, połączonego ze szkołą powszechną. Dyrektorem był pan dr Gućwa, znajomy państwa Kraweckich, nieprzejętnie wykształcony człowiek, wspaniały pedagog, serdecznie się mną zaopiekował. Uczył również tam nasz wielki lubelski poeta Józef Czechowicz, bardzo ostry i wymagający.

Mama płaciła w pierwszym roku 46 złotych czesnego. Bo to była szkoła dla zamożnych, uczęszczali tam, między innymi, syn znanego bankiera Morainego, syn generała Smorawińskiego. Wtedy nastąpił już dla nas lepsze czasy, zmienili się właściciele komienicy. Najpierw kupił ją felczer z żydowskiego szpitala przy Lubartowskiej Szpak, a potem pan Katz, też Żyd, właściciel maleńkiej drukarenki. I oni płacili mamie już regularnie pięćdziesiąt złotych. Dorabiała praniem i sprzątnięciem. W drugim roku zostałem z czesnego zwolniony. I tak się uczyłem siedem lat. A potem poszedłem do Gimnazjum Mechanicznego, w budynku, dziś już nie istniejącym, przy Króla Leszczyńskiego. Tam mnie zastała wojna.

Robiliśmy różne psikusy, a jakże! Kiedyś zaszyłem w szkolną czapkę płonący fosfor i wsunęliśmy to pod katedrę jednemu z profesorów. Rozszedł się wstrętny zapach czosnku. Poczuł, wachał, szukał, nie mógł biadny znaleźć. Taaak, straszni byliśmy, ktoś rzucił kredą, ktoś na innej lekcji śrubą, rzekomo niechący. I odszedł ten profesor ze szkoły. Na odchodnym powiedział nam: „Tego się po was nie spodziewałem, a przecież uczyłem w Szwajcarii...” Wspaniały był człowiek. Innym razem wybiliśmy szyby w profesorских oknach przy Weteranów, w domu pana Klinowskiego; nie lubiliśmy go, prawda. Było dochodzenie. Dyrektor z wyrzutem wypomniał nam chore serce pana Klinowskiego i matkę. „Jak mogłeś jej to zrobić — powiedział — przecież gdybyś wyłedział ze szkoły, pękło by jej serce”. Nic nie miałem na swoją obronę.

**N**ALEZAŁEM do Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”. Zeby się zapisać, musiałem postużyć się oszustwem — sfalszowałem legitymację, bo nie miałem jeszcze piętnastu lat. Chodziliśmy na ćwiczenia do sali na Starym Mieście, to mi się potem bardzo przydało w czasie wojny. „Sokół” miał także swój cyklodrom przy ulicy Rowerowej, tam gdzie dziś stoi gmach Komendy Wojewódzkiej. Wypożyczało się rowery do jazdy wokół placu, po bieżni, albo za 50 groszy za godzinę jazdy po mieście. Ja nie korzystałem z tego, bo nigdy nie miałem pieniędzy. Kolekty, owszem, przychodzili i za dwadzieścia groszy mogli sobie zrobić tych kilkanaście rund po bieżni. Była tam kiedyś wielka atrakcja — cyrk przyjechał! Nie mieścił się w zwykłym miejscu przy Okopowej i stanął na cyklodromie. Lwy, tygrysy, słonie, cała menażeria! Gruba Wandzia, której nigdy nie zapomnę. Facet, reklamując jej program robił sobie z jednej jej pończochy całą spodnicę. A Gruba Wandzia siedziała na dwóch krzesłach, nie mogła się wcale poruszać, taka była gruba! Ugrzązł ciągnik w błocie,

przyjechał drugi i też ugrzązł. Wtedy wyprowadzili słońca i ten łbem wypchnął te traktory.

Róg Chopina i Okopowej, wtedy wolny plac, był stałym miejscem dla cyrkowych namiotów. Przyjeżdżał cyrk Staniewskich, jak również cyrk „Korona”, którego dyrektorem był pan Herrgot. Pamiętam dobrze, bo kochałem się w jego córce Irence. Oczywiście tylko z dala. Występowała w tańcu z wężem boa. Proszę sobie wyobrazić lekkie, przewiewne szaty i ten zielonkawy, jakby lekko opalizujący wąż, olbrzymi. Ona go sobie zakładała na szyję, światło padało na nią, muzyka wzbudzała dreszcze, czasami seledynowe światło rozcinała jakaś ostra żółć. Słychać było niemal jak wąż przesuwa się po muslinie jej szaty... Potem dowiedziałem się że w czasie występów we Lwowie, lew uderzył ją łapą, straszliwie oszpecając twarz. Mam piękne jej zdjęcia i tak czasem się zastanawiam: Jak potem Irenko wyglądała? A twoje lice — kiedyś takie gładkie, uśmiechnięte?...

**K**ORYTO Bystrzyca nie było uregulowane. Rzeka płynęła zakolami, jak chciała. Wiosną wylewała potężnie, tworząc olbrzymie jezioro od kościoła Bernardynów, aż hen, daleko pod cukrownię. Tylko smużka Nowej Drogi i drewniany most, często znożony, przecinały to rozlewisko. Największą frajdę mieliśmy jednak wiosną, kiedy ruszały lody, a my wskakiwaliśmy na tafle kry. Aaa... Jakaż to była emocja, kiedy kra uderzyła o resztki mostu i pękła na dwoje.

Każdy zakręt Bystrzyca miał swoją nazwę. Pierwszy, tuż przy mostku wąskotorówki, to była Pomidorówka, dalej Uczniak, potem Szoferski (kierowcy się tam kapali), dalej Babski — obok dworku Walczaka, po którym nie ma już śladu. Tam przychodziły się kąpać kobiety i to śmiesznie wyglądało, kiedy mokre koszule przylegały im ściśle do ciała. A na końcu był Koński Bek, zakręt prawie pod kątem prostym i woda bardzo, bardzo głęboka. Tam pławiono konie dorożkarskie, furmańskie.

I rzeka sobie płynęła, czysta, głęboka, od Zemborzyc, pod most żelazny, przez Wrońków, obok wyl-

## „RYSIEK!...”

nów na Wrońkowie i Czubach i obmywała taką gładką, równą, zadrzewioną plaśń. Tor wyścigów konnych.

Bomba w górę! To było święto, waliły tłumy z miasta, całe towarzystwo. Była kryta drewniana trybuna, kawiarnia. Naturalnie, my chłopcy mogliśmy sobie patrzeć tylko z daleka, zza Bystrzycy. Nieraz latem obserwowaliśmy ze zdumieniem dżokejów ujeżdżających konie w... kozuchach, nie wiedząc o tym, że w ten sposób zbijają wagę. Były wyścigi płaskie i przez przeszkody. Pamiętam wypadek, gdy koń nadział się na płotek od przeszkody i belka przebiła mu brzuch. Czym się dojeżdżało? Piechotą, niektórzy powozami czy dorożkami. Autobusy przecież nie chodziły. Były chyba dwie linie: od koszar do cukrowni i na Dzieśnią. To wszystko.

Potem wybudowano przystanie. Pierwszą, przed mostem, na Piłsudskiego — Ligi Morskiej i Kolonialnej, następnie, poniżej, „Strzelca”. Można było wypożyczać kajaki. Myśmy, jak zwykle, bez pieniędzy mogli pływać tylko wtedy, gdy udało nam się wykraść kajak,

bez wiosł naturalnie. Raz, na dopiero co rozmarznętej wodzie, o mało się nie utopiliśmy, bo w dnie była dziura.

A dalej Rusałka, miejsce wypoczynku. Zadrzewione stawy, letni teatr, łódki. I sprzedawali wspaniałą watę cukrową, smakowite lizaki po cztery grosze. A nie opodal, wychodząc do ulicy Rusałka, rosło kilka rachitycznych drzewek i tam zawsze rozbijali się obozem Cyganie. Cyganki wrożyły z kart, albo z ręki, wszystkim pokojówkom, kucharkom, sprzątaczkom, służącym. Dziś nie ma już po tym wszystkim śladu. A Bystrzyca ... Plakać się chce...

**K**INA. Najstarszym kinem był „Feniks” w Starym Teatrze. Dyrektorem i właścicielem był pan Makowski, postawny mężczyzna ze starej lubelskiej rodziny wymienianej już w spisie posesji z końca XVIII wieku. Potem to kino nazywało się kolejno: „Panteon”, „Wiedza”, „Adria” wreszcie „Rialto”. Tak powstało powiedzenie: „Sprzedaj palto, idź do Rialto”. Z synami pana Makowskiego, zwłaszcza z Jurkiem, kolegowaliśmy się, co dawało mi możliwość bezpłatnego obejrzenia co niektórych filmów. Zresztą, właściciel z okazji świąt państwowych wpuszczał młodzież za darmo; ustawiała się wtedy grzeszna kolejka, nie było żadnych przepychanek, poszturchiwania się.

Kinoteatr „Oaza” przy Radziwiłłowskiej, potem słynne „Corso”. Tam grano filmy i przedstawienia wodewilowe i operetkowe. Po drugiej stronie, na Krakowskim Przedmieściu, tam gdzie dziś jest plac Czechowicza, stało kino „Czarny Kot”, potem „Stylowy”. W czasie seansu, kiedy nie było specjalnego tłoku, srodkiem przechodził portier i ze specjalnego flakonu rozpylał wodę kolońską. Pan sobie to dzisiaj wyobraża? Inne ekskluzywne kino — to „Apollo”, dziś „Wyzwolenie”. A poza tym „Uciecha”, „Wenus” (obecnie „Robotnik”) i letnie „R.T.P.D.” po starym letnim teatrze na Rusałce. A na zapleczu poczty było żydowskie „Variette” gdzie wpuszczano wyłącznie dorożkarskich i jeden „Kurier Warszawski” na kijku. Jeden z starszych kolegów, któremu się poszczęściło, opowiadał mi o występach babeczek w desousach, nuciąc przy tym piosenkę: „Wchodzę na plażę, bawić się mogę, panienci nagie dziś modne są”. Słuchając, dostawaliśmy wypieków.

**A**CH, Krakowskie Przedmieście, to była nie taka prowincjonalna, gubernialna ulica jak dziś. Cukiernia Semadeniego z przeszkloną werandą i gazetami na kijach. Z tymi kijami to mi się przypomina taka anegdota, jak to siedzi w Semadeniego jeden Żyd i podchodzi kelnerka pytając, czego sobie życzy. A on: „Ja poproszę take czarne picze, jak ta pani ma za szozaną (babka piła kawę za przepierzeniem) i jeden »Kurier Warszawski« na kijku”.

Tak, Semadeni to była reprezentacyjna cukiernia, tak samo Rutkowska, dziś „Lublinianka”. Tam nie było sztabaków, gawiedzi, przychodziła palestra, lekarze, przemysłowcy. Świetne ciastka z ciastkarni przy Kolałtaju. Ale to też nie było na kieszeń takiego młokosa. Ja kupowałem u Żydówek hajse bubale, takie pączki na parze robione z mąki ziemniaczanej, kosztowały coś 3—4 grosze. One nosiły to w koszykach, zimą przykryte chustką, zawsze gorące. A knajpki, ha! Na samej Narutowicza: pod 16, pod 18, obok taniej jatki Pelca, potem zakład fryzjerski Kamińskiego, masarnia pana Gołębiowskiego (świetne wędliny), knajpa pod 20, potem masarnia Zduńskiego, a nie opodal miał masarnię pan Pyzik. W tych knajpkach ruch się robił zwłaszcza w soboty, w dniach wyplat. Wtedy wpadali na jednego robotnicy, potem wpadały ich żony, często z wianuszkami dzieci. A wędliny! Taki pan Suchodół i jego słynne suche kielbasy. Za złoty dwadzieścia, no, dwa pięćdziesiąt. Kurowska, wożona do Lublina kosztowała już całe cztery złote.

Dokończenie na str. 6—7

# NEW YORK TRANSIT

Ciąg dalszy ze str. 4

Tak Halina nie została „panią Mośkową”. Zresztą było to niemożliwe, bo była wtedy z Kazikiem. Kazik przyjechał z Kalisza i jeździł taksówką. W Polsce zostawił żonę i troje dzieciaków. Poznali się u znajomych i tak się zaczęło ich chodzenie. Od pół roku mieszkają razem. Właściwie — mieszkali... I w tym cały problem Haliny, ból głowy i w ogóle.

To „w ogóle” to tak naprawdę znaczy Janusz. Pochodzi z Gdańska. Jest mechańikiem i pracuje w garażu. Ma dwadzieścia osiem lat, czarne włosy i gra na gitarze. Halina zrozumiała, że jest on mężczyzną jej życia. Z nim chce być i tylko to się liczy. Problem polega jednak na tym, że jest w ciąży z Kazikiem. Trzeci miesiąc.

Bała się o tym powiedzieć Januszowi, ale w końcu dała sobie na odwagę spirytusu z sokiem i zwierzyła się. I tu ją kompletnie zaskoczył. „Nic się, kochanie, nie martw. Było, minęło. To jest Ameryka. Trzeba wziąć polską gazetę, poczytać ogłoszenia i iść do jakiegoś ginekologa. Niech wyskrobie. Nie mam do ciebie pretensji. Przecież zaszłaś, kiedy nie ze mną byłaś...”

Halina zrozumiała, że Janusz ją naprawdę kocha i że może się ożuć przy nim bezpieczna. Teraz musi faktycznie umówić się z doktorem i zaraz potem z agencji „Varsovia” na Siódmej Ulicy wysłać świąteczną paczkę dla córeczek. Bardzo je kocha i rozłąka jest już dla niej nie do zniesienia.

Nie, nie wyobraża sobie życia bez Karoliny i Patrycji. Jak tylko coś odłożą z Januszem, wracają do Polski i on otwiera własny warsztat. Tranzyt nie powinien potrwać zbyt długo.

Na dość ostrożne i oględne pytanie, z kim są obecnie dzieci, Halina reaguje gwałtownie: „Jak to z kim? Z ojcem!”. Timbre głosu wskazuje, że być może wchodzić na grunt niepewny i niepożądany. Widząc to, Henia, koleżanka Haliny, pyta: „Gdzieś kupiła ten golf? Jest bardzo ładny”.

## Robiąc na azbestach

— Mam dwóch synów i dla nich to robię — pan Gierek zaciąga się papierosem i szybko wypuszcza dym.

Widząc moje zdziwienie, dodaje szybko: „Dwa lata, panie kolego. Dwa lata to bardzo długo. Pluca nie te”.

W zadymionym pokoju unosi się wraz z dymem opowieść znanego inżyniera, budowniczego. Człowieka sukcesu pokazywanego w telewizji. Odznaczonego, czym się dało, w tym — ostatnim razem — Sztandarem Pracy II Klasy. Pan Gierek dziś potrzebuje mówić i nikt mu tego nie odbierze. Kiedy w Nowym Jorku zaczyna się mówić o azbestach, wiadomo, że to nie jest temat na dziesięć minut. Tak jak, dajmy na to, ucieczka Nadii Comaneci do USA czy nawet wizyta Gorbaczowa u Jana Pawła II.

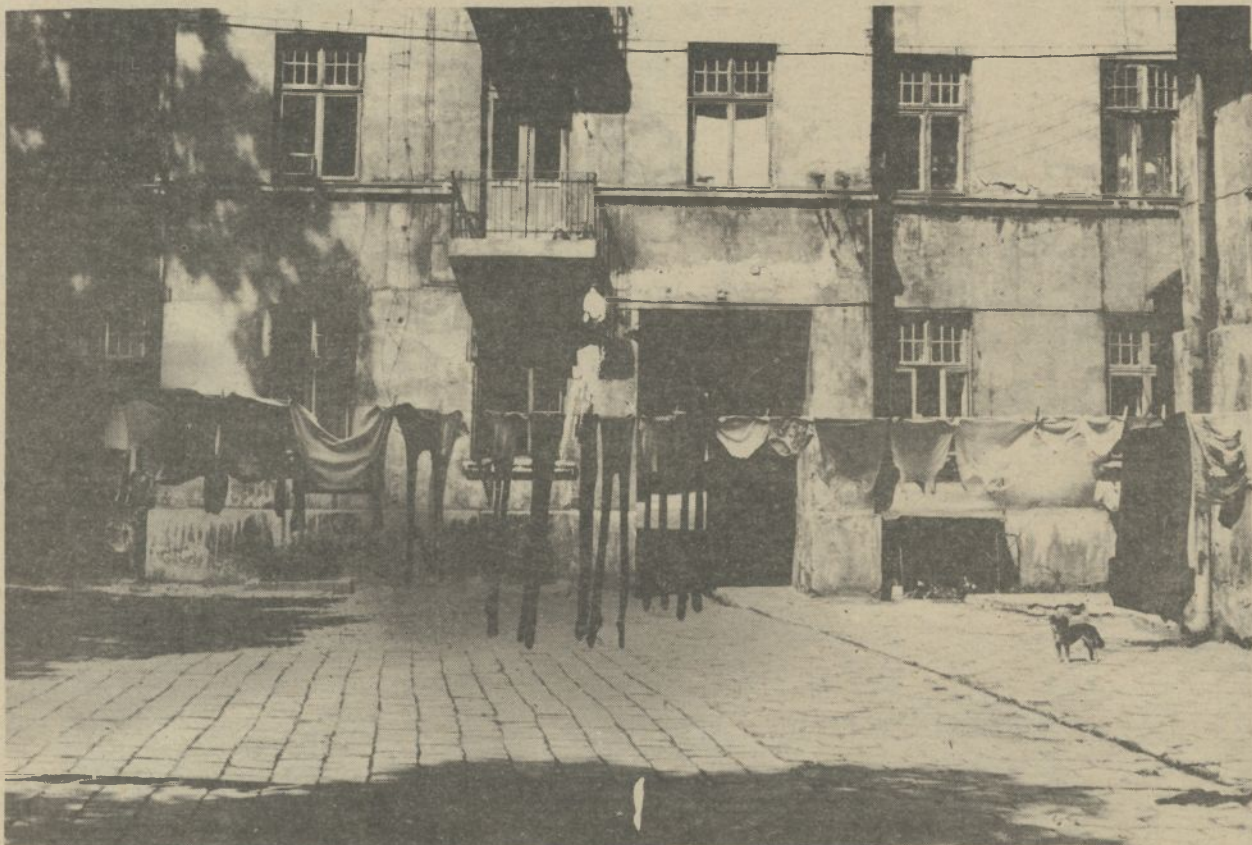
Odkąd Amerykanie odkryli znakomite właściwości izolacyjne azbestu, zaczęli masowo stosować go w budownictwie; głównie do osłaniania instalacji lub ścian frontowych narażonych na przemarzanie i przemakanie. Kiedy okazało się, że azbest jest minerałem rakotwórczym, Departament Zdrowia USA, po walce stoczonej z resortem budownictwa i związkami zawodowymi budowlanych, doprowadził do wydania absolutnego zakazu stosowania azbestu w budownictwie publicznym oraz rolnictwie.

Powstała jednak kwestia, co zrobić z już istniejącymi tonami. Tysiącami i milionami ton azbestu, jakimi nafaszerowano domy. Kiedy jednak powiedziano „a”, musiano powiedzieć i „b”. Zalecono azbest usuwać. Oczywiście do tej roboty trudno było znaleźć chętnych, mimo bardzo dobrych płac. I wtedy znaleźli się Polacy. Pośród nich pan Eugeniusz, pupil propagandy sukcesu i reformy gospodarczej.

Robiąc na azbestach, zarabia się od 19 do 30 dolarów na godzinę. Zależy, co kto potrafi. Teoretycznie robi się w maskach, a dwa razy na zmianę trzeba się dokładnie kąpać pod gorącym prysznicem. Skierowanie do roboty poprzedza kurs, a każdy azbestman musi sobie także zafundować maskę.

— Nikomu nie życzę takiej roboty — powie pan Gierek. — Kurz dookoła jest czasem taki, że nie widać. Rwie się często sparciała izolacja, która ma ponad trzydzieści lat i dosłownie sypie się. Po godzinie w masce ma się serdecznie dosyć, ale wtedy pomaga liczenie. Ja mam stawkę 23 dolary na godzinę. Dziennie mogę robić nawet dziesięć godzin, a w tygodniu jest pięć dni roboczych. To

Ciąg dalszy na str. 6



Fot. Waldemar Stępień

# NEW YORK TRANSIT

Ciąg dalszy ze str. 5

jest. Kochany panie, 1150 dolarów tygodniowo, a 4600 miesięcznie. Po dwóch pełnych latach pracy mam odłożone w banku 85 tysięcy, a zdążyłem już kupić obu synom samochody. Nawet gdybym nie wytrzymał trzech lat, tak jak sobie zakładałem, to do Polski wrócę ze stoma tysiącami. Gdybym pracował sto lat i każdy z moich synów po sto lat, nigdy tyle byśmy w Polsce nie zarobili. Czy ja się dostatecznie jasno wyrażam?

Zaraz potem rozgorzeje dyskusja, czy robienie na azbestach jest szkodliwe. Mieszkający z panem Gienkiem Rysiek, zdrowy byk spod Łomży, skwituje rzecz krótkim: „Gówno prawda. Amerykanie srają ze strachu”. Posiadacz Szklarni Pracy ujmie to inaczej: „Nawet gdyby to mnie miało zabić w ciągu następnych pięciu lat, to i tak warto”.

Później poznam pięćdziesięciodwuletnią kobietę, która na azbesty została ściągnięta przez syna. Powie: „Umieram? Może i umieram. Ale dla dzieci, i wiem za jakie pieniądze”.

W nowojorskim uniwersytecie Columbia podjęto badania socjologiczne nad Polakami, którzy zdominowali rynek azbestów w ponad 80 procentach. Nie jest wykluczone, że ktoś się wydoktoryzuje, bo stwierdzi, że w świecie wartości relatywnych są śmieszni ludzie ze środka Europy, którzy za cenę krótkotrwałej bajki płacą cenę tranzytu. Do Nieba. Bo aż tak bardzo uwiera im ich własny Raj.

## Ten cholerny Greenpoint

Mówi się w Nowym Jorku: „Na Greenpoincie Polacy biją się nawet o kozy, bo bab brakuje”. O Greenpoincie pisały reportaże wszystkie większe tytuły prasowe USA. Powstają filmy. Greenpoint, wciśnięty między Queens a tę część Brooklynu (na którym leży), którą nazywa się tu „Zydowem”, stanowi bazę takiej Polski, jaka wylania się z tutejszych „Polish jokes” lub filmów Trzosa-Rastawieckiego. Polski tępej, zapitej, unurzanej w błocie i spermie. Polski wyjętej z przedwojennej warszawskiej Pragi. Polski kryminalnej i spatiofizycznej. Polski beznadziejnej: bez snu i nadziei.

Na Greenpoincie nie możesz wiedzieć za dużo. Znajomość angielskiego szkodzi. Jeśli uczysz się angielskiego, to znaczy, że nie ufasz swemu szefowi i chcesz się dogadywać poza nim z jego bossem. Jeżeli wierzysz komukolwiek, popełniasz ciężki błąd, bo i tak zostaniesz wyrolowany. Z forszy, z roboty, z mieszkania, z kobiety, jeżeli ją masz. Na Greenpoincie musisz gnoić innych, nim ciebie dopadną. Musisz udawać, zwodzić, zmyślać i oszukiwać. Musisz pić, ale kontrolować innych w trakcie picia. Musisz zbierać informacje, aby je użyć przeciwko nim. Zdążyć przed nimi, nim będzie za późno. Dla ciebie.

Na Greenpoincie jest prosto, bo wszystko ma swoją cenę. Dziewczyna wie, że za załatwienie roboty idzie do łóżka. Wie także, że gdy szuka roboty, najłatwiej zaczepi się na tak zwany abonent. Może mieszkać i jeść gratis w zamian za seks. Wybór jest jej. Nikt nie zmusza.

Greenpoint uczy życia. I uczy Ameryki. Nie dasz rady ze swymi ideałami i lekturą zachłannie wyczytaną z eleganckich reportaży amerykańskich. Od Greenpointu zaczyna wielu. Bardzo wielu. Ale po to, aby potem skończyć z Greenpointem, zapomnieć. Uciec. Kto się tylko odbije, ucieka z tego miejsca jak z enklawy trędowatych. I potem nie wolno nikomu nawet wspomnieć, że się zna tę nazwę. To szkodzi. Sam poznałem dziewczynę po anglistyce, która nieopacznie straciła znakomitą robotę, bo powiedziała, że była dwa miesiące na Greenpoincie. To wystarczyło, aby zakończyć interview w pół zdania.

Mam wielu znajomych na Greenpoincie. Są tam znakomite instytucje typu Polish-Slavic Center lub Polish-Slavic Credit Union. Tam działa wspaniały w swym nawiedzeniu ksiądz Emil Altmajer. Człowiek z Lublina i KUL-u, geniusz pomocy i wielkiego serca. Ale...

Ale ja jednak wyraźniej widzę tych pijacków okupujących rogi ulic i wygrzebujących z koszy na smieci puszki po piwie (po pięć centów sztuka). Te zmarnowane dziewczyny idące rankiem bez celu po opuszczeniu kolejnych „gościnnych łóżek”. Ten odłam ludzki, emigracyjno-polski. Bolesny w swoim realizmie. Co ja poradzę?

Ciąg dalszy na str. 7

## Tranzytem przez Rumunię

# CHRYSTUS NARODZIŁ SIĘ

Marek Podgajny

**W**TIMISOARZE, w zachodniej części kraju, mimo rozlegających się strzałów i wprowadzeniu do walki czołgów, ponad sto tysięcy ludzi protestuje na ulicach miasta. Securitate jest bezsilna. Studenci ogłosili rozpoczęcie strajku generalnego.

Kilkadziesiąt godzin później, 21 grudnia, pięćdziesięcioletni tłum zgromadzony na wiec w parafii dla „wielkiego geniusza Karpat” buntuje się i pali dzieła swego wodza. Krzyczy już cały Bukareszt: „Precz z Ceausescu!”. Wieczorem przed pałacem prezydenckim i gmachem KC giną setki ludzi.

Około godziny 21 telewizja podaje informację, że Nicolae Ceausescu wraz z małżonką opuścili kraj. Pół godziny później na bukareszteńskim lotnisku Otworzył się samolot z Damaszku, którym powraca do domu — tranzytem przez Rumunię — trzydziestoosobowa grupa polskich turystów.

### NIEPRZEWIDZIANY POSTÓJ

— Zostaliśmy skierowani do hali tranzytowej i tam zajęliśmy miejsca. Samolot do Warszawy mieliśmy dopiero następnego dnia, 22 grudnia o 8.50 rano — opowiada Anna Rakowska, pilot grupy. (W Bukareszcie była drugi raz). — Zwyczajowo, jak to przy tranzytach, Rumuni zabrali nam paszporty, aby nikt nie opuścił lotniska i nie pojechał do miasta. Zjedliśmy skromną kolację i zaczęliśmy szykować się do odpoczynku w tych dworcowych warunkach. Nie działo się nic podejrzanego. Było spokojnie. Wszyscy wkrótce usnęli.

Rano sytuacja uległa diametralnej odmianie. Po ósmej Anna Rakowska poszła do kas rumuńskich linii lotniczych TAROM, które miały przewieźć Polaków do Warszawy. Bilety dostała dopiero około dziewiątej, choć lot był zaplanowany na 8.50. Powiedziano jej, że mają czekać nadal w holu tranzytowym.

Przez oszklone ściany dworca widać było pierścien czołgów otaczających lotnisko. Z minuty na minutę przybywało uzbrojonych żołnierzy. Przypominało to nieco stan wojenny w Polsce w 1981 roku ale tu był obcy kraj. Nikt z Polaków nie wiedział o co chodzi.

Ostatnie samoloty francuskich, niemieckich i radzieckich linii odleciały przed południem. Wieczorem odlatywali Czesi. Mieli wolne miejsca w swoim 11e62, ale odmówili zabrania Polaków do Pragi. Na pokładzie czeskiego Ila odleciało tylko 12 osób.

Tymczasem ciągniki z obsługi lotniska ściągnęły rumuńskie samoloty z płyty do hangarów. Pasy startowe były całkowicie puste.

Jakiś rumuński żołnierz zaczepiony przez Polaków powiedział, że Ceausescu musi upaść. Jeżeli tak się nie stanie, dodaj, dojdzie do wojny.

## MOŻE KTOŚ ZAWOŁA

Dokończenie ze str. 4—5

A firmy na Krakowskim: Meinel, Wedel, Magierski, Kalicki, Bata, skład win i doskonałych własnych miodów Ignaszewskiego. Przed wojną na wysokości obecnej księgarni muzycznej zainstalowano prawdziwy neon firmy „Piesch”, to była sensacja! Bardzo dużo sklepów mieli Żydzi.

Targ przy ulicy Nowej, to był targ! Wędliny, mięsa — wołowe, wieprzowe, końskie, co pan tylko chciał. I inne dobra, i wszystko od Świętosławskiej i Lubartowskiej zastawione budami. A w nich wszystko. Targ to byli głównie Żydzi, i to jest chyba ten najbardziej szczegółowy rys przedwojennego Lublina. A że oni byli przede wszystkim kupcami, handlarzami, to to, że ten pomnik postawiono tam, gdzie jest jego najwłaściwsze miejsce, to bardzo dobrze.

**Z**YDZI — to był chałat i mycka, pejsy, cycele, a byli też i tacy, co chodzili w kapeluszach. Byli Żydzi bardzo biedni, zgadzam się z panią Fiszman-Sznajdman, ale ona w swej książce zbyt dramatyzuje ich los, za bardzo ten naród ubiednia. Zgadzam się, że wielu było bardzo ciężko; pamiętam Żydówkę, która skarżyła się, że nie ma nawet na rybę, na szabes. Ale pamiętam ich święta, kiedy do kamienicy przychodzili Żydzi — tragarze z koskami pełnymi macy, niektórzy z nich starzy, zgarbieni. Wno-

Po godzinie jedenastej ogłoszono wprowadzenie stanu wyjątkowego.

— Wieczorem udało mi się wreszcie uprosić Rumunów, żeby mi pozwolili skorzystać z telefonu. Po kilku próbach dozwoniłam się do naszej ambasady i przedstawiciela LOT — opowiada Anna Rakowska. — Konsul stwierdził, że, z przykrością, ale nie mogą przyjąć nam z pomocą, ponieważ ambasada położona jest w sądziektwie gmachu telewizji i znajduje się w samym centrum walk. Rozmawiając ze mną przez telefon, pan Piotr Czyżewski krył się między meblami, unikając w ten sposób swistających wokół pocisków.

— Zapropowano nam wyjazd autokarem z lotniska do jakiegoś hotelu. Odmówiliśmy ze względu na toczące się walki. Po drodze napotkalibyśmy przecież na co najmniej kilkanaście oddziałów wojskowych i każdy z nich mógłby nas ostrzelać, nie pytając kim jesteśmy, ani gdzie i po co jedziemy. Zostaliśmy na lotnisku.

Pod wieczór zwiększyła się liczba wozów opancerzonych otaczających lotnisko. Pojawily się działa przeciwlotnicze.

Przed terrorystami z Securitate, portu lotniczego miała bronić niecała setka żołnierzy uzbrojonych w ręczną broń maszynową. Wśród wystraszonych pasażerów pojawily się także cywile: młodzi chłopcy uzbrojeni w pałki, kije, długie noże, a nawet w kuchenne tasaki i siekiery. Obsługa lotniska oraz rumuńscy wopisci i celnicy pozdejmowali mundury i wymieszali się z cywilami. Żołnierze zajęli pozycje na dworcowym tarasie, który wychodzi na szosę prowadzącą do centrum.

Wszyscy czekali na atak.

### ROBI SIĘ GORĄCO

W sobotę rano, 23 grudnia, sytuacja powróciła do normy. Nocny atak nie przyniósł większych strat, ale uzmysłowił wszystkim, że oto znaleźli się w samym środku wojny domowej. W czasie, gdy na zewnątrz trwała strzelanina, w budynku głośnik wyły z całej mocy. Miały tłumić odgłosy strzałów.

Przed południem na pasie lotniska pojawił się szwajcarski samolot. Były w nim lekarstwa, opatrunki i inny sprzęt medyczny. Byli też lekarze, ale do następnego dnia tkwili na lotnisku, czekając na jakikolwiek transport. Trochę zajęcia dali im polscy turyści. Starszej kobiecie dokuczalo serce, komus innemu pękł wrzód na żołądku. Ran postrzałowych, na szczęście, nie było.

Wieczorem szef ekipy Czerwonego Krzyża popisał się nie lada organizacyjnymi umiejętnościami. Wszystkim cywilom załatwił jedzenie i koc.

sili to na pietra — do Blumensztoków, Peresów, Adlerów. Dzieci z tych rodzin wnosily nam tę macę, nam katolikom. I myśmy to jedli, bośmy byli głodni. Ale oni mieli swoją macę, inną. Niewielki krządek. brązowy, tym się lamali jak my opłatkiem... Przecież to jest pamiątka przejścia przez pustynię Synaj, kiedy — jeden drugiemu — piekli te placki na plecach.

Moji koledzy z podwórka — Żydzi, to byli wspaniali koledzy, wspaniałe koleżanki. I umieli milczeć, gdy coś przeszkobałem, nie skarżyli. Nie byli awanturnikami, starsi — bardzo uczynni, dzielili się z nami wszystkim. Kiedy przychodziliśmy do Żydów w sobotę rano palić w piecu, miałem wszystko przygotowane, poukładane, drewnienka na rozpalakę pocięte równiutko. Ja tylko zapalałem zapalke, wkładałem drewnienka i za to dostawałem dwadzieścia, dwadzieścia pięć groszy, ba! nawet żydowskiej lekkiej pejsachówki czasami. Tego ichniego leńciechu, coś jakby świętecznego piernika.

Zydzi handlujący, handlujący, handlujący... Dlaczego? Bo oni do ciężkiej pracy fizycznej się nie nadawali, jeżeli już — to jako tragarze. Ale nie wiem, nie słyszałem, żeby Żyd Polakowi coś taszczył. Już oni tam mieli swoich, jedni płacili, inni nosili. A jacy byli dla Polaków? Różni. Mówiłem już, że pierwszy właściciel kamienicy nie dopłacał matce i trzeba było wszystko wyciągać mu z gardła. Ale następny Szpak, kiedy Związek Dozorców Domowych przez mecenasa

## W OGNIU

O godzinie 21 zaczął się kolejny szturm na budynek dworca. Grube szyby pełniące tam rolę ścian zostały podziurawione przez kule niczym durszlak. Ludzie chowali się gdzie kto mógł, nakrywali się tym, co było pod ręką. Leżeli przemierzani z krzesłami, bagażami, innymi gratami. Głośniki znów wylały na cały regulator. Był strach.

Jeden ze Szwajcarów zdecydował, że trzeba się gdzieś schować. Przechodzili się po posadzce w kierunku toalet odgradzonych solidnie wyglądającymi, ceglanyścianami. Resztę nocy spędzili pod umywalkami i w ubikacjach. Zmęczenie przytępiło strach.

W niedzielę około południa dotarła wiadomość, że do walki włączyli się Libijczycy i Syryjczycy. Ktoś powiedział, że tylko patrzeć, jak ich helikoptery zaczął bombardować lotnisko. I znów strach. „Z drugiej strony budynku znajdują się garaże, może by tam?” — padła propozycja.

— Dwieście metrów dzielące nas od wejścia do tych niby schronów, mieliśmy pokonać po otwartej przestrzeni, wśród świstu kul — mówi Wojciech Jarosz. — Był taki moment, że kilkunastu ludzi schowało się, po drodze, za dużym filarem i nie mogło dalej ruszyć ani na krok. Terrorysty zajmujący szosę prowadzącą z dworca do miasta mieli cały budynek jak na dłoni. To cud, że w czasie tej przeprawy nikt nie został postrzelony.

Około trzeciej do garażu wpadła młoda dziewczyna. Krzyczała, że Ceausescu został aresztowany. Entuzjazm i radość z przecucia, że to się musi wkrótce skończyć. Po pół godzinie telewizja rumuńska zdemontowała wcześniejszą informację.

Nadchodził wieczór. Już czwarty. Wszyscy szykowali sobie miejsca do spania. Jedni ulokowali się na transportowych wózkach, inni układali płyty paździerzowe na betonowej podłodze, a na nich swój turystyczny majdan.

— Od pewnego Rumuna dowiedzieliśmy się o tragedii, jaka miała miejsce w czasie natarcia w nocy z soboty na niedzielę. Nadjeżdżający szosą oddział Securitate został trafiony i musiał opuścić wóz — relacjonuje Wojciech Jarosz. — Oficer rozkazał swoim żołnierzom nacierać dalej pieszo. Oni odmówili. Dowódca zaczął do nich strzelać. Rumun mówił, że ten oficer bał się, aby żołnierze nie przeszli na stronę rewolucjonistów.

Wieczorem młoda Rumunka z obsługi lotniska znalazła w kuchni trochę prowiantu i zapas wody. Z jednym ze Szwajcarów przygotowała wigilijną kolację. Zamiast barszczu była zupa pomidorowa. Rybę zastąpił kawałek kury i zleony groszek polany jakimś sosem. Dostali też chleb; urywali go z bochenka po kawałku. Młody Rumun, rewolucjonista, patrzył na białe mięso z niedowierzaniem. Mówił, że mięsa nie widział od trzech miesięcy, że już chyba nie pamięta jak smakuje.

## „RYSIEK!...”

Krażliki wygrał proces o pensję, wszystko matce wyrównał. Całe dwa tysiące złotych! A teraz to już szara, mroczna przeszłość. Ich dusze zaklęte w kamieniu starych czynszówek, ich ciała pochłonięte holocaustem...

Aha, jeszcze coś odmiennego. Taka ulica Szambelańska, na Starym Mieście, czy Bramowa. Pan przechodził wieczorem tunel Krakowskiej Bramy, latarnie gazowe i gdzieś tam ognik papierosa w ustach tych kobiet, które przechadzały się, wystawiały na rogach w przydługich, nieraz przykrótkich, płaszczach. Od rogu, do rogu, bo miały wyznaczone rejony. Hajla chodziła od Olejnej do Szambelańskiej, a od Rybnej do Olejnej Hinda, to znów Szmaja od Rybnej wzdłuż Grodzkiej. I ciekawe, że w tym przypadku nikt Polaków i Żydów nie potępiał za te stosunki. Co innego za kupowanie u Żydów, już się w latach trzydziestych zaczął szerzyć bojkot żydowskich sklepów; owo sławetne „Kupuj tylko w polskich sklepach!”. Tam była pełna, jakże haniebnej istoty, tolerancja. Te biednie ubrane żydowskie dziewczyny tkwiące na rogu, w mdłym świetle gazowej latarni. Jakiż to temat! Też odeszły w mrok staromiejskich ulic...

**T**AK szukam dla pana tamtego klimatu, i... Bo ja wiem? Może koniec, te furgony, dorożki turkoczające. Łąki, gdzie na każdym skrawku wypasano bydło, chabety, dużo sadów w mieście, placyki

Za to Murzyn z Jemenu dziwił się bardzo i pytał, dlaczego ci ludzie wymieniają się ze sobą chlebem, dlaczego tak się ściskają i całują. Nie rozumiał także znaczenia piosenki nuconej przez niektórych Polaków. Widział tylko oczy zachodzące łzami. Niektórzy odchodzili na bok i resztę wieczoru spędzali zaszyci w jakimś kącie.

W chwili, gdy Chrystus miał ponownie przyjść na świat — znów rozpoczęła się walka. Trwała przez pierwsze godziny Bożego Narodzenia.

— Wpadli do nas z karabinami i kazali się wylegitymować. Przejrzeli nasze paszporty. Okazało się, że szukają dwóch ludzi z oddziału Securitate, którzy wdarli się na teren lotniska. Zabrali Irańczyka, który siedział z nami oraz dwóch Rumunów ubranych po cywilnemu. Irańczyk wrócił nim minęły dwie godziny. Co stało się z Rumunami, mogę się tylko domyślać.

### POWRÓT JAK Z WOJNY

Rano Szwajcar z Czerwonego Krzyża zrobił zbiórki, sprawdził paszporty i oddzielił Polaków od reszty cywilów. Czerwony Krzyż już wcześniej czynił starania o wizy szwajcarskie lub francuskie dla swoich podopiecznych. Miał po nich przylecieć specjalny samolot.

Nagle ktoś krzyknął, że lotnisko jest już chyba otwarte, bo ląduje samolot Luftwaffe. Zaraz po nim, tuż przed dwunastą w południe wylądował wojskowy transportowiec z Krakowa. Na lotnisku zjawił się też polski konsul z przedstawicielami LOT. Radość okazała się jednak przedwczesna. Polski samolot nie mógł zabrać ani jednego pasażera, bo miał rozhermetyzowaną komorę ładunkową.

Trzeba było czekać dalej. Około drugiej po południu, w pierwszy dzień Bożego Narodzenia przyleciał drugi samolot, a dwie godziny po nim zjawił się następny. Na lotnisku był już spokój.

W Bukareszcie mieli spędzić niewiele ponad dwie godziny. Przetrawili ponad dziewięćdziesiąt. Do domu wiozły ich wojskowe samoloty desantowe AN-24 z pełnym uzbrojeniem.



Fot. Waldemar Stępień

przy posesjach zagospodarowane. Jabłonie, śliwy... Wie pan, ci ludzie siedzący pod bramami, na ławeczkach, dozorczy z miotłą przysiadający wieczorem z żoną i czeredką dzieci, taki jakiś gospodarski. A tam gdzieś czereдка żydowskich dzieci. Różnowy sąsiedzkie, i ten Chaim w sklepie („A pan mi to sprzedaj, Chaim, ja dzisiaj nie mam pieniędzy, aj! litr mleka i tyn chleb, ja tak proszę dla moje dzieci”). Jakaś była więź między ludźmi, bez względu na ich wyznanie, na ich zamieszkanie, na ich profesję. To znikło, nikt nie wie...

Grzebię się w pamięci, szukam miejsc zanikłych, to miasto mi się kureczy, coraz mniej jest miejsc, po których deptałem w młodości. Jeszcze to i owo uda mi się piórkiem zamknąć na karcie. I wie pan co? Za każdym razem widzę Bramę Krakowską inaczej, nie ma dwóch jednakowych Trybunałów. Za każdym razem inna kreska, inny kolor. Po prostu ja jestem tam ze sobą i z rysunkiem. Między nami jest jakiś kontakt. Pozornie jest to dręty kawałek papieru, ale przecież ja ten martwy związek drewna z kazeiną ożywałam moimi piórkami. I ta kreseczka do mnie przemawia. Ja medytuję nad tym.

Po tym nowym Lublinie ja nie chodzę, to nie jest moje miasto. Ja tu się szwendam, po Starówce, po Śródmieściu. Tam, gdzie ja chodziłam na węgry, teraz stoją betonowe bunkry. A tu, kiedy chodzę po moich podwórkach, po moich uliczkach, to tak nasłuchuję, może ktoś zawoła! „Rysieek!”

Leszek Wiśniewski

## NEW YORK TRANSIT

Ciąg dalszy ze str. 6

Siedzę w eleganckim apartamencie na 5th Avenue. Jest późny wieczór. Z trzydziestego piętra widać cały Manhattan z Central Parkiem. Rozmawiamy o rzeczach błahych. Pogoda w Europie, futro żony Gorbaczowa, Pavarotti w Metropolitan Opera, nowy film cudownej Pfeiffer, kręcony w Moskwie, choinka przed Rockefeller Center, stawiana w tym roku przez Japończyków, bo oni wszak odkupili (za 807 milionów dolarów) ten symbol amerykańskiego dobrobytu i prosperity. I nagle pojawia się ten cholerny Greenpoint. Czuję uważne spojrzenia oblepiające mnie dokładnie. Mam coś powiedzieć, ale duszę w gardle odpowiesz, której nie mam. Uciekam więc w dygresję i żarty.

Nazajutrz dowiem się, że Polak z Greenpointu zarznął nożem rywala swojej kochanki, bo... dowiedział się, że żona go zdradza w kraju.

Greenpoint wciąga, chłonie, obezwładnia. I tak pojmovany jest wrogiem tranzytu.

### Tranzyt hormonalny

— Ile można wytrzymać bez chłopca? — pyta Beata. — Miesiąc, może dwa, a co potem?

Pytanie jakby zawisa w próżni. Beata zostawiła w Polsce męża z pięcioletnim synkiem, Arturem. Kocha męża i kocha syna. Potrzebuje — chłopca. Nic na to nie może poradzić.

— Tutaj, w Ameryce, jest wiele takich „amerykańskich małżeństw” — mówi. — To jest taki układ, że nie myślimy się o mężu czy żonie w kraju, tylko żyje tutaj tak, jakby się było po ślubie. To bardzo pomaga przetrwać. I tak się potem wraca do rodziny. Taki kompromis, żeby nie zwariować. Tyle jest stresów w pracy i tyle poniżeń, że jak się wraca do domu, to się chce od tego wszystkiego uciec. Seks w tym pomaga. Czasami takie „amerykańskie małżeństwa” doprowadzają do polskich rozwodów, ale ja nie sądzę, aby tak miało być w mojej sytuacji. Zresztą czy ja wiem, co mąż robi w Polsce? Z kim się spotyka, z kim żyje? Nie będę pytała po powrocie i nie chcę, żeby on mnie wypytywał. Tak będzie najlepiej.

Jestem na pożegnaniu. Krzysiek wraca do Krakowa. Ma żonę i dwoje dzieci. Po trzech latach żona powiedziała mu, że albo się zjawi za dwa tygodnie, albo nie ma po co wracać. Więc wraca. Jest też pożegnanie. Przyszło chyba ze trzydzieści osób. Sami Polacy. Są dania zimne i gorące. Wódki nie ma prawa zabraknąć. Gra muzyka z magnetofonu kasetowego. Gwar, luz. A jednak...

Grażyna ma dwadzieścia dwa lata, siedzi w kajecie i wyje. Wie, że Krzysiek ją zostawia zapewne na zawsze. Zyli ze sobą prawie dwa lata. Mieli plany, ale kiedy żona zadzwoniła, on powiedział „sorry” i poszedł do biura „Lotu” załatwiać bilet. Więc ona teraz nie ma przed sobą przyszłości i dlatego...

Towarzystwo taktownie nie absorbuje jej. To jest normalne, gdy wyjeżdża „amerykański mąż” lub „amerykańska żona”. Każdy lub niemal każdy z zebranych wie, że i jego coś takiego dotknie. Jest więc coś z misterium w tym żalu i bólu. Tak być musi. Teraz. Zwykle za jakiś czas po wyjeździe wszystko wraca do normy. Opuszczony „współmałżonek” znajduje swego kolejnego partnera. Życie nie znosi próżni.

Każdy tranzyt trzeba w końcu jakoś przetrwać.

### Może faktycznie ten tranzyt się kończy

Witek. Syn bohatera szlaku od bagien Lenino po ZOO berlińskie. Rocznik sześćdziesiąty. Służył w wojskach lotniczych, bo był mechanikiem i lubił samoloty. Po ogłoszeniu stanu wojennego dogadał się z trzema kumplami, przekonali pilota samolotu szkoleniowego, skombinowali paliwo i wystartowali z Koszalina. Po godzinie lądowali w Berlinie Zachodnim.

Witek pozostał w RFN. Było to jasne, bo w kraju dostał sześć lat za dezercję i zdradę. Niestety, nie miał szczęścia. Wdał się w bójkę, porozbił, trzech żołnierzy i czekał na sąd. Tymczasem zaproponowano mu jednak wyjazd do USA i odtąd zgodził się natychmiast, bo był przy zdrowych zmysłach.

W Stanach trafił dobrze. Został skierowany do biskupa grekokatolickiego, u którego miał sprzątać. Przydzielono mu natychmiast dziewczynę w jego wieku, aby uczyła go angielskiego non-stop. Była to Greczynka z pochodzenia, Andrea.

Przez rok Andrea wyedukowała Witka dokładnie. Mówi po amerykańsku. Nie pisze i nie czyta, ale mówi! Jak wielu mieszkańców murzyńskiego Harlemu. Znajomość angielskiego doprowadziła go do pozycji majstra na budowie. Takich budowli firma ma kilka. Firma należy do amerykańskich Włochów, a pracują w niej Polacy z Krośna. Jeden

Dokończenie na str. 8

# NEW YORK TRANSIT

Dokończenie ze str. 7

ściągnął drugiego, aż wreszcie opanowali nie tylko posady murarzy, betoniarzy i dźwigowych, ale także kierowców, portierów, a poprzez swoje żony, znajome i kochanki — także miejsca służących, opiekunek dzieci i kucharek w licznych domach rodziny Ricardich. Fakt, że Witek pochodzący z Elbląga znalazł się w tym towarzystwie, jest wydarzeniem niezwykłym.

Przejmując fuchę majstra, Witek zastępował Czeska wracającego do Krosna po trzech latach. Czesiek wracał do żony i dzieci, ale zostawiał „amerykańską żonę”, Bożenkę, dwudziestodwuletnią krośniankę. Tu w Nowym Jorku: „house-keeperkę” u córki głównego właściciela. Na miejsce Czeska przyleciał jego szwagier Zenek i on miał zostać majstrem. Właściciel jednak dokonał innego wyboru, czym wyprowadził krośnianków w stan podniecenia i rozczarowania. Nie był to jednak koniec niespodzianek.

Zenek był przekonany, że przypadnie mu po szwagrze Bożenka, ale i to nie okazało się takie oczywiste. Dziewczyna zaczęła wyraźnie oscylować ku Witkowi. On nie był od tego. Jakoś mu się nie układało. Andrea nie dawała mu spokoju od początku, ale mu się nie podobała. Zamieszkała u niej, gotowała mu, prała, namawiała do rozbudowy domu, którego połowę była skłonna mu zapisać. Witek chodził jednak z Chinką, Florence. Chciał się nawet zenić, ale kiedy sprowadził Flo do domu Andrei, wyniła awantura i Chinka odeszła. Więc kiedy Bożena zaczęła do niego ciągnąć, nie bromił się.

Niebawem jednak okazało się, że dziewczyna jest w ciąży. Powiedziała mu, że z jakimś przygodnie napotkanym na prywatce u koleżanki facetem. Było jej smutno po wyjeździe Czeska i tak jakoś wyszło. Zrozumiał. Przemyślał wszystko i powiedział Bożenie, że zaakceptuje dziecko jak swoje. Wydawało się, że oszalała ze szczęścia. Idylla trwała tydzień. Przerwała ją zjawienie się u Witka żony Wojtka, Wandy.

Wojtek jest rodzonym bratem eks-majstra Czeska. Robi jako stolarz, a jego żona gotuje u żony właściciela. Wanda przyszła do Witka z ważną sprawą. Chodziło o przerwanie ciąży Bożenki. Wanda na pewne zdziwienie Witka zareagowała nerwowo: „Nie udawaj głupa. Przecież wiesz, że to będzie dziecko mego starego. Wojtek jej zrobił i mi się przyznał, a i ona też”. Niestety rewelacje potwierdziły się. Bożena przyznała, że poprzednią wersję wymyśliła. Plakała jednak i prosiła, żeby jej Witek tak teraz nie zostawiał. Ona robi, co on zechce.

Witek jest głupi i nie wie, co robić. Już miał się zenić, a tu taka sprawa. Jak urodzi, wszyscy będą wiedzieli czyje i żyć się nie da. Jak usunie, też wszyscy będą gadali i żyć się nie da. Tylko Andrea, której o wszystkim opowiada, jest spokojna. Doradza, żeby Bożenka usunęła i niech ją Witek odda jakiemuś innemu Polakowi. A potem niech wraca do niej, do Andrei. Ona już nie chce tej rozbudowy. Dom sprzeda i wyjedzie z Witkiem na Florydę. Nowy Jork jakoś mu nie służy. Koniec tranzytu.

Witek zastanawia się, czy trudniej było jego staremu, kiedy modlił się po pas w bagnie pod Lenino o pomoc, czy jemu, jak lecieli tym samolotem trzydzieści metrów nad ziemią, żeby ich radarzy nie wykryły, czy może teraz. Może faktycznie ten tranzyt się kończy...

## Miasto niekochane

— Nikt nie wie, ile ludzi mieszka tu naprawdę — powie mi Teofil Roll-Mecak, dyrektor John Paul II Friendship Center — bo tak naprawdę nikt tej wiedzy nie potrzebuje. To miasto jest wielką poczekalnią. Tu się przychodzi na dłuższą lub krótszą chwilę. Ale jednak chwilę. Dlatego temu miastu nie się nie daje, a stara wziąć jak najwięcej. To jest stacja przesiadkowa do kariery politycznej w Waszyngtonie, do kariery filmowej w Hollywood czy do wielkich pieniędzy w Connecticut. Kto się chce wiązać ze stacją przesiadkową?

Teofil Roll-Mecak też jest w tranzycie. Urodzony w Bukowinie w polskiej rodzinie, potem obywatel Rumunii. Docent socjologii Uniwersytetu Bukareszteńskiego, tłumacz literatury polskiej na rumuński (dwadzieścia siedem książek od Sienkiewicza do Kotarbińskiego). Więziony i przesładowany przez reżim Ceausescu. Wypuszczony za granicę wskutek kilku interwencji rządu USA, w tym prezydenckiej. Od szesnastu lat w USA i od tyłu w nowojorskim tranzycie. Pisze wspólnie z profesorem Feliksem Grosssem z Columbia University kilkutomowe dzieło „Polska myśl społeczną na emigracji”. Kieruje centrum pomocy dla ludzi starych i ubogich.

— Nowy Jork jest miastem niekochanym i skazanym na brak miłości. On jednak też nie kocha. Nie obdarowywany uczuciami, sam ich pozbawia. Nikt tego nie rozumie, jeżeli nie zdecydowanie się na ten tranzyt — mówi mi Roll-Mecak.

Manhattan, grudzień 1989 r.

Waldemar Piasecki

## Gradniowy fotoreportaż i relacja ze starej sekretarki albo mały traktat o czasie, czyli próba

Jestem pokłócony z terażniejszością. Czas przeszły jest moją ulubioną formą gramatyczną. Przyszłość — to nieznane, smutek i odejście, na które muszę się zgodzić. Gdy piszę, ucieka zazdrosny o słowa czas. Niekiedy udaje mi się zatrzymać go w kadrach zdjęć, ale wnet leci dalej, jakby Chronos był orłem, a nie starcem. Odlatując przemija i zabiera część mnie dla niepewności jutra. Żegnajcie minione chwile, czas wszystko pozmienna.

Niekiedy — po ciągłej pogoni za tematami fotograficznymi, żeby pomarzyć i uciec w zabawki — stare przedmioty — dumam o nieznanym dawniej ludzi, którzy je niegdyś posiadali.

Kim byli ci ludzie, którzy pisali moimi piórami, uruchamiali moje dziś zegary, czekając utęsknioną godziną na ukochaną kobietę czy mężczyznę, żeby potem móc żyć wspomnieniami. Jak bardzo chciałbym ich poznać, widzieć ich oczy, którymi się podziwiali, poznać dzieje czułości, które wracają w każdym pokoleniu, a jednak przemijają. Czy uroda, uśmiechy, nadzieje, piśczęoty nie są wieczne? Czy weseląc się, nie wierzymy w przyszłość, która staje się terażniejszością? Gdzie dziewczyny z tamtych lat?

Pocałunki przebiegają z ust do ust, jak do pucharu, poprzez pokolenia, wieki, epoki...

Rzeczy też się kocha. Marząc przy otwartym, solidnym mebelku i czasem herbacie, czuję, jak udziela mi się szczególny urok „staroci”, uzyskując nade mną przewagę, jak kobieta. Żal mi ludzi, którym obce jest radowanie się kolekcjonera nowym gadżetem. Ja my-

ślę o nim, wracam niecierpliwie, żeby być przy nim, a jeśli jest to kolejna „kamera, bez której nie mogę żyć”, kładę ją sobie na noc obok poduszki i zązywam relanium, po „Relacjach”. Podczas wykonywania obowiązków redakcyjnych towarzyszy mi wspomnienie nabytku i działa jak włosy kobiety.

Nie będąc nadmiernie i bezpodstawnie niezależnym materialnie (będąc w wieku: „Tato — daj”, „prawdziwy Stępień wyjąłby i dał”), bywam na giełdach, gdzie zaopatruję się głównie w narzędzia mojego zawodu. Z przyjemnością oglądam tam staroświeckie kamery i urządzenia fotograficzne. Mają one dla mnie ogromne piękno dawnej solidności wykonania, którą skutecznie wyparła tandetnie wydana myśl techniczna, naddająca uległe za ludzkim upodobaniem wygód i uproszczeń. Rzadko mnie stać na takie nabytki, i tak: na jednej z giełd „poszła” przy mnie osobliwej piękności kamera fotograficzna produkcji niemieckiej, o niedobrze dziś brzmiącej nazwie „Prominent”, za 350 000 złp. Nie miałem chwilowo tych pieniędzy i nigdy nie miałem szczęścia do prominentów.

Trawiąc niekiedy całe godziny nad swoimi gadżetami i podobiznami „pięknych dawnej pory”, które niegdyś kochały i pozowały artystom, mówię sobie, kiedy wracają realia: „Zamknij sekretkę — otwórz oczy”.

Napisał i sfotografował:  
Waldemar Stępień

**W**EDŁUG Biblii pierwszy był Noe. Zasadził, wyhodował, wycisnął i... upił się. Specjał ów musiał być niełochy, skoro syn Lameka padł w namiocie i zasnął jak niemowlę w stroju, mówiąc delikatnie, mniej niż skromnym.

## Zwierzę - pije, człowiek - degustuje

Wino. Boski napój czy diabelski trunek? Z pewnością jedno i drugie. Powszechnie bowiem wiadomo, iż pierwszy puchar wina — orzeźwia, drugi — rozwesela, trzeci — upaja, a czwarty... Hm. Francuzi na takie dictum odrzekliby, że tylko zwierzę pije, człowiek zaś — degustuje. Święta prawda! Mieszkańcy Babilonii (XVIII-XVII w. p.n.e.) tak przejęli się ową degustacją, że znany skądinąd król Hammurabi (słynny kodeks prawny: „oko za oko”) zmuszony był wprowadzić pierwszą w dziejach świata „ustawę o wychowaniu w trzeźwości”. W Świątyni Bel Merodach kazał władca wykuć na kamiennych tablicach zarządzenie zakazujące handlarzom i kupcom wino podawania tego napoju osobom, które — opróżniwszy rząd pucharów — przeznaczały je do zgola odmiennych celów.

W czasach starożytnych pijaństwo nie należało do rzadkości, a słynne rzymskie bachanalia przerodziły się z czasem w pospolite orgie pijackie, nie mające nic wspólnego z kultem Bachusa. Rozpusta i wyuzdanie, które zaczęły dominować w rzymskich uroczystościach, stały się przyczyną wielkiego procesu, który objął ponad 7 tys. osób. Wiele z nich skazano później na śmierć. W czasie prowadzonego śledztwa ujawniono nie tylko przestępstwa natury seksualnej, ale i mordy, otrucia, fałszerstwa, a nawet spisek polityczny. W związku z tym senat zabronił obchodzenia bachanalii. Tak to Bachus, bóg wina, za sprawą wina właśnie, został pozbawiony swojego święta.

W liturgii kościelnej wino stanowi konieczny składnik każdej mszy. Bez niego bezkrwawa ofiara jest nieważna. Jednak już duchowieństwo średniowiecznej Europy piło ów napój bynajmniej nie w liturgicznych ilościach. Biskupi Francji w czasach Merowingów i Karolingów swoiście pojmywali słowa Chrystusa wypowiedziane podczas ostatniej wieczerzy. Pili tyle, że delirium tremens kończyło niejednokrotnie ich grzeszny żywot. Pijaństwo wśród księży stało się tak pospolite, iż wprowadzono stosowną karę za ten występki: „Upiłeś się przez samochwalstwo, aby pokazać, że potrafisz prześcignąć współbiesiadników w pijaństwie? Jeżeli tak, trzydzieści dni postu”. Widocznie barbarzyńskie pragnienie było nadzwyczaj silne, skoro miesięczna „kuracja odwykowa” nie stanowiła na ogół specjalnej przeszkody w kontynuacji „kościelnych powinności”.

W Polsce zwyczaj picia wina rozpowszechnił się dopiero w XVI w., jako że było ono drogie (import i nie każdy szlachcic (nie mówiąc o chłopach) mógł sobie pozwolić na wychylenie pucharu tegoż węgryzyna. Nie przeszkodziło to jednak i naszemu duchowieństwu, a szczególnie mnichom, w naśladowaniu francuskich braci. Nie od rzeczy będzie w tym miejscu opinia o mnichach, jaką wystawił im podany cesarza Józefa II: „Jest to zwierzę czelkotworne, kapturzasty, złopięcy (...), zwierzę łakome a śmierdzące, opity, znoszący łatwiej głód niż pracę. O wschodzie i zachodzie słońca, a osobliwie w nocy, mnichy zgromadzają się i gdy jeden zabeczy, wtórują mu wszyscy (...). Badanie anatomiczne organów (mnicha — przyp. aut.) prowadzi do osobliwych spo-

strzeżeń. Mnich nie ma mózgu, ale za to posiada nure, wprost z podniebienia do żołądka idącą, pęcherz kształtu beczki i niezwykle rozwinięte organa piciowe”. Przy tym opisie, satyry Krasickiego na mnichów wydają się być niewinną igraszką biskupa warwińskiego, który pozwolił sobie dworować (co mu publicznie zarzucano) z dominikanów m.in. w „Monachomachii”. Głos ma ojciec doktor:

„Bracia najmiłsi! Ach, cóż się to dzieje?  
Cóż to za rozruch u nas niesłychany?  
Czy do piwnicy wkradli się złodzieje?  
Czy wyszły kuflę, gąsior i dzbany?  
Mówcie!... Cokolwiek bądź, srodze boleję;  
Trzeba wam pokój wrócić pożądamy...  
W tem się zakrzuszył, jęknął, łzami zalał;  
Przeor tymczasem pełny kubek nalał”.

Nieuczciwością jednak byłoby twierdzić, że winem raczyli się w Polsce tylko zakonnicy. Znanie są nazwiska takich pijaków jak Małachowski czy Radziwiłł zwany Panie Kochanku. Również królowi Janowi Kazimierzowi zdarzało się dotąpić boskiego upojenia, a wówczas nawet obce poselstwa musiały czekać, aż monarcha łaskawie wytrzeźwieje.

# PIJĄC

## Zbigniew Dzieciołek

Zbigniew Kuchowicz, w swej książce „Obyczaje staropolskie...” pisze, że „słynnym pijakiem był w XVIII wieku generał Komarzewski, który potrafił na raz koszt szampana wypić, puchar mieszczący pięć butelek wina wypijał dwoma łykami; z niejakim Świejkowskim uporali się z beczką wina węgierskiego: wyciągnęli z niej gwóźdź i podstawiali na zmianę kielichy pod ciurkający strumyk, nim drugi napemnił kielich — pierwszy musiał wypić swój, aby z kolei podstawić go pod stróżkę wina”. W innym miejscu przytacza Kuchowicz świadectwo tamtych czasów A. Radziwiłła, który twierdził, iż podczas jednej z uroczystych mszy z udziałem monarchy i dostojników senackich, „trzeźwa była tylko infuła na głowie celebrującego mszę biskupa”. Tak to Rzeczpospolita jadła i piła, popuszczając pasą.

Oczywiście, z tych kilku przykładów nie należy wyciągnąć daleko idących wniosków, bo dzisiaj należałoby stwierdzić, że Polska „Polmosem” stoi. Ale to już temat do dyskusji po godzinie trzynastej.

## Cienkusz, lara, panie bracie

Weź odpowiednią ilość winogron i wytłocz z nich sok. Pozwól mu sfermentować, po czym przelej go do specjalnie przygotowanych beczek i spokojnie czekaj kilka miesięcy lub lat. Wino będzie gotowe. Prawda, jakie to proste?

Tak rzeczywiście wygląda „z grubsza” proces powstawania wina. Gdybyśmy jednak zastosowali ów przepis, to podejrzewam, iż otrzymalibyśmy trunki, do którego nie przyznałby się żaden zawodowy winiarz. Bowiem produkcja tego szlachetnego trunku wymaga nie lada zdolności i skomplikowanych za-



## WALDEMARA STĘPNIA

### naśladowania Gay de Maupassanta i nie tylko



biegów, abyśmy w efekcie mogli degustować takiego na przykład burgunda, i to w około pięciuset odmianach.

Każda winiarnia starannie strzeże tajemnic powstawania swoich win i łatwiej się łupić z winiarzem (prawdziwi fachowcy tego nie czynią), niż wydobyć od niego recepturę starej dobrej malagi. Z tego też zapewne powodu nie znamy dziś tajników wyrobu wina w dawnej, słonecznej Helladzie.

Grecy znali sposoby sporządzania tak ciężkich i mocnych win, że — nie rozcieńczone wodą — zwały natychmiast z nóg. A jeśli wierzyć Arystotelesowi, jednym litrem wina z Samos mogło upić się... 40 mężczyzn. Musiał to być trunki bardzo słodki i o potężnej dawce alkoholu. W jaki sposób udało się pogromcom Troi sporządzić taki specyfik (wziąwszy jednak poprawkę na opowieści autora „Poetyki”), już się nie dowiemy. Natomiast dzisiejszą madere, zawierającą nawet do 20 proc. alkoholu, otrzymujemy poprzez dodanie do moszczu, na początku fermentacji, pewnej ilości alkoholu z dodatkiem specjalnych drożdży. Bez nich powstałby rodzaj diabelskiego zajązaju, przypominającego bardziej denaturat, niż portugalski trunki.

# FALERNO

Wina generalnie dzielimy na: słabe — do 10 proc. alkoholu; średnio mocne — 10—14 proc. i mocne — ponad 14 proc. Jeżeli zaś weźmiemy pod uwagę zawartość cukru, to możemy je podzielić na: stołowe (wytrawne i półwytrawne) i deserowe (półslodkie, słodkie i bardzo słodkie).

Ten schematyczny, z konieczności, podział nie zawiera całego bogactwa rodzajów i subtelności winnych, ale też wyliczenie wszystkich powstających na świecie win zajęłoby tyle czasu, że i najcierpliwszy mnich by nie wytrzymał. Dość powiedzieć, że już starożytni znali co najmniej kilkadziesiąt sposobów otrzymywania „boskiego napoju”. Wystarczy wziąć do ręki tomik poezji Horacego, a w co drugiej odzie „natknijemy się” na wino chijskie, lestrygoneskie, falernejskie, mareockie czy też kaleńskie. Ta różnorodność, oprócz swych niewątpliwych zalet, miała jednak i swoje „wady”. Pozwalała wytwórcom i handlarzom win dokonywać gwałtu na tym szlachetnym trunku.

Najprostszym sposobem „chrzczenia” wina było dolewanie do niego wody. Powstawał wówczas pospolity cienkusz, ale ilość sprzedanego wina znacznie się zwiększała, czyniąc ten zbójcki proceder niezwykle zyskownym. Gdyby tylko ograniczono się do H<sub>2</sub>O, rzecz cała nie warta byłaby najmniejszej wzmianki, wspomniany już Hammurabi nie wydałby ustawy zakazującej fałszowania wina, a w szlacheckiej Polsce handlarze nie musieliby składać przysięgi na „wierność” czystości wina. Ale ustawa to jedno, a rzeczywistość — drugie. Mieszano zatem co się dało i z czym się dało, preparując np. z trunków francuskich węgierskie (bo droższe). „Już i w Warszawie — pisze S. Trembecki — tegoż nauczono się sekretu, mieszając do cienkusza gnój gołębni (...). Mniemane burgundzkie jeszcze gorsze (...), bo czasem, dla purpuro-

wego koloru będąc podsypane oliwą, kolką malarzką przysłużyć się potrafi”. W innym wierszyku z siedemnastego wieku czytamy, że:

„(...) siarkę, mleko, jajca biją,  
a jednak je ludzie piją”.

W wydanym oficjalnie w Zamościu (w 1752 roku) „Kalendarzu Polskim i Ruskim” autor udziela „dobrych rad, dotyczących bynajmniej nie galilejskiego cudu: „Gdy chcesz mieć wino złotego koloru, wóź słomy owsianej żółtej na dno w beczkę i nalej winem, będziesz mieć kolor złotawy. Czerwone wino zrobisz, gdy włożysz w niego czerwoną chusteczkę, którą w korzennych sklepach i aptekach dostaniesz (...). Przeciwnym sposobem z czerwonego zrobisz białe, gdy dwa luty soli grubej do dwóch garncy wina włożysz (...). Ostre wina temperują sztuką solonej wieprzowiny, to jest słoniny tłustej, uwiązawszy ją na sznurku, żeby na wierzchu pływała”. Tyle o Rzeczypospolitej szlacheckiej.

Kiedy odwiedziłem Milejowskie Zakłady Przemysłu Owocowo-Warzywnego, kierowniczka tamtejszej wytwórni win opowiadała mi, jak w latach 70., z polecenia wyższej instancji, „popędzano” nasze jabłczaki, oszczędzając na cukrze. Po prostu dolewano do

niesfermentowanego w pełni wina spirytus, osiągając — sztucznie — potrzebną ilość procentów. To, co powstawało po tym zabiegu, słusznie nazywano „siarą”, „prytą” czy też „czarem pegieeru”.

Wbrew powszechnemu mniemaniu, że tylko „polskie owocowe” produkowane są z dodatkiem siarki (w Milejowie nie dodają SO<sub>2</sub> w ogóle), należy stwierdzić, iż niemal wszystkie wina importowane zawierają ów konserwujący specyfik. Tak, tak. To nie jest żadne pomówienie, lecz wyniki laboratoryjnych analiz. Nie bronię tutaj rodzimej produkcji (jabłko to nie winogrona, a Milejów nie Burgundia, chociaż i w Milejowie potrafią sycić taki miód, nomen omen „Klasztorny”, że niejeden importowany „sikacz” przy nim „wysiada”), ale może warto przypomnieć, że właśnie we Francji, gdzie wina traktowane jest jak herbata w Anglii, toczył się w połowie lat 70. proces przeciwko 10 właścicielom winnic, którzy szpielowali środkami chemicznymi wina gorszej jakości. Sprzedawali je później pod szyldem najlepszych trunków. Podobnie fałszowano porto i madere, dodając do win alkohole syntetyczne, otrzymywane z węgla i produktów naftowych. W latach 80. w Austrii ujawniono aferę glikolową. Glikolu używano do konserwacji i uszlachetniania win, zamiast powszechnie stosowanej w konserwacji nieszkodliwej gliceryny. Przedobrzono i w efekcie kilkanaście osób zmarło.

„Dzięki” tym i podobnym praktykom sfalszowano około 800 gatunków win!

## Żywym woda, martwym wino

Statystyczny Polak — ze swoimi 6—7 litrami win owocowych, gronowych i miodów pitnych — zajmuje jedno z pierwszych miejsc od końca w europejskiej

tabeli spożycia wina. Dla przykładu: Włoch czy Francuz wypija w ciągu roku około 100 litrów, przedkładając ten trunki nad znacznie mocniejsze alkohole, którymi raczy nas rodzimy przemysł. Nic więc dziwnego, że kultura picia wina stacza się u nas po równi pochyłej z szybkością odwrotnie proporcjonalną do pojawiania się wina na naszych stołach. Udany mariaż pełnej miski z kieliszkiem stanowi raczej rzadkość. Częściej zdarzają się mezaliansy i to takie, że kiperowi włosy stanęłyby na głowie.

Zdarzyło się, że pewien polski szlachcic, biesiadując w towarzystwie i podochociwszy sobie zakrzyknął: „Żywym woda, martwym wino”. Wśród biesiadników nastąpiła konsternacja. Do rękoczynów nie doszło, gdyż szlachcic szybko wyjaśnił, iż w kalamburze chodziło o ryby. I miał rację.

Ryby rzeczywiście podaje się do wina (a raczej odwrotnie), ale tylko do białego wytrawnego. Natomiast dziczyznę i wieprzowinę spożywamy nie inaczej, jak z czerwonym wytrawnym. Wina deserowe natomiast zawsze towarzyszą ciastom, tortom czyli wyrobom „na słodko”. Szampana wolno podawać (co nie oznacza, że musimy) praktycznie do wszystkich dań i w każdych okolicznościach. No, może z wyjątkiem stypy, gdzie strzelające korki byłyby raczej nie na miejscu. Chociaż Polska szlachecka (i nie tylko) pamięta czasy, kiedy podczas uczt pogrzebowej pito ostro, tańcząc na stołach i śpiewając zmarłemu „sto lat”!

Przy degustacji należy pamiętać, aby wina miało odpowiednią temperaturę, a kieliszki były z cienkiego, przezroczystego szkła w kształcie tulipana. W tak dobranym kieliszku najlepiej tworzy się bukiet, który jest czymś nieuchwytnym, czymś na co składa się klarowność, barwa, zapach i smak wina.

Są kieliszki, jest wina — przystępujemy do degustacji. Najpierw białe wytrawne, półwytrawne, a następnie czerwone wytrawne. Po czym białe półslodkie i słodkie. Z kolei przechodzimy do czerwonego półslodkiego i słodkiego. Na końcu próbujemy win ziołowych. Jeżeli nie zachowamy tej kolejności, nigdy nie określimy smaku, nie mówiąc już o całym bukietcie. Dobrze jest w trakcie degustacji „przegryzać” poszczególne trunki kawałkami żółtego sera, aby kubki smakowe mogły wrócić do normy.

Tylko nieliczni wiedzą jak degustować, aby wydożyć z wina to, co najlepsze. Każdy ruch, każda czynność ma swój ustalony czas i miejsce. Wygląda to mniej więcej tak: „Nalewamy niewiele wina, przyglądamy się barwie. Teraz trzeba zakręcić kielichem, aby wina nabrało w nim ruchu wirowego, aby zwiliżyło ścianki na stosunkowo dużej powierzchni: rozchodzi się aromat, wyczuwamy bukiet. Uhm! Pora umoczyć koniuszek języka, co da pojęcie o takich właściwościach wina jak: gęstość, żęzenie, a zwłaszcza kwaśność. Jeżeli żaden smak, żaden zapach nie dominuje, nie narzuca się za szczególną siłą — już wiemy, że wina jest »zrównoważone«. Teraz możemy pociągnąć tęgi łyk. Ale nie od razu połykamy, uchowaj Boże! Najpierw rozprowadzamy wina po całej jamie ustnej, nasącamy nim wszystkie torki smakowe (...). Przed połknięciem zatrzymujemy wina na moment u wylotu gardła, gdzie smak jest wyjątkowo czysty, niezakłócony, pocujemy sam rdzeń napoju, jego drugie dno — jeśli je w ogóle ma. Łykamy powoli, jednocześnie szeroko oddychając. Teraz wiemy już wszystko (...). Sama poezja.

PS. Amatorom winnych historii polecam książkę Krzysztofa Kowalskiego — „Amfory, beczki, butelki; szkice z dziejów wina” — z której m.in. korzystałem pisząc ten szkic.

„Nazywano ich chrześcijanami”

# PRZEŚLADOWANIA: PRAWO CZY BEZPRAWIE?

Marek Kuryłowicz

NIECHĘTNY stosunek ludności rzymskiej (a także w prowincjach) do chrześcijan wykorzystywany był, niekiedy może i sterowany, przez cesarzy dla własnych, doraźnych celów. Już Neron skierował wobec nich podejrzenie o podpalenie miasta, szybko podchwyczone w atmosferze uprzedzeń wobec „wyznawców nowego i zbrodniczego zabobonu” (Svetoniusz). Jako obrońcy rzymskiej religii wystąpili m.in. cesarze Decjusz i Dioklecjan, nakazując powszechne ceremonie religijne, a w odmowie uczestniczenia w nich — znajdowali pretekst do spotęgowania prześladowań. U podłoża leżały najczęściej problemy polityczne, finansowe i militarne, z jakimi musieli coraz częściej borykać się kolejni władcy imperium. Walka o ratowanie upadającego Rzymu wymagała odwołania się do tradycyjnych wartości w społeczeństwie i państwie, w tym do utrwalonej religii.

Również zamieszki, bunty i niepokoje wśród ludności — czy to w samym Rzymie, czy w prowincjach — rozładowywane były nieraz zęcnie przez obrócenie ich przeciw chrześcijanom, już przecież za Nerona skazanym „za nienawiść ku rodzajowi ludzkiemu”.

Lokalną, prowincjonalną praktykę pokazuje dobrze list Pliniusza. Widoczna jest w nim niechęć do chrześcijan ze strony miejscowej ludności, wyrażająca się przede wszystkim w oskarżeniach, przedkładanych cesarskiemu urzędnikowi.

W historii prześladowań chrześcijan wiele więc zależało od osobowości samego władcy, od sytuacji politycznej w państwie, od trudności na granicach i wewnątrz kraju, od nastawienia wreszcie samej ludności. Łatwo było wykorzystać niepowodzenia i nastroje dla obrócenia ich przeciw chrześcijanom. Nic dziwnego więc, że w II wieku Tertullian pisał: „Gdy Tybr występuje z brzegów, Nil zalewa pole, niebo jest zamknięte, ziemia drży, gdy zdarza się głód, wojna, mór, od razu wznosi się jeden krzyk: Chrześcijanie! Śmierć chrześcijanom!”

U współczesnego czytelnika musi pojawić się jednak pytanie, jakim prawem, na jakiej podstawie prowadzone były tak surowe prześladowania. Odpowiedź musi być tu przybliżona, gdyż podstawy prawne represji wobec chrześcijan nie są jasne, a i dla samych Rzymian też chyba jednoznaczne nie były.

Za Nerona obwiniono ich o spowodowanie pożaru, ale — jak pisze Tacyt — „udowodniono im nie tyle zbrodnię podpalenia, ile nienawiść ku rodzajowi ludzkiemu”. Ta bliżej nieokreślona i prawie niesprecyzowana przesłanka była jednak wystarczająca do uznania, iż — jak stwierdza dalej Tacyt — „ludzie ci byli winni i zasługiwali na najsurowsze kary”. Przypuszczenia co do wydania przez Nerona specjalnych przepisów przeciw chrześcijanom nie znajdują ostatecznego oparcia źródłowego.

Znamienny w kwestiach prawnych jest list Pliniusza do Trajana. Otóż podstawowa wątpliwość, z jaką zwraca się on do cesarza, dotyczy kwestii, „czy samo miano »chrześcijanin« podlega karze, o ile byłby poza tym wolny od przestępstw, czy też dopiero przestępstwa wynikające z tego wyznania kary podlegają”? Niepewny, jak postępować, karze Pliniusz chrześcijan za upór przyznawanie się do tej wiary. „Nie miałem bowiem wątpliwości — pisze — że należy karać upór i nie dawać się przelać krnąbrność”. Przestępstwem jest więc tu nieposłuszeństwo wobec władzy, chociaż połączone z przyznawaniem się do wyznawania kultu Chrystusa.

Oprocz nieposłuszeństwa, uporu i krnąbrności znajduje Pliniusz jeszcze jedną podstawę do karania. Otóż zabraniał on, zgodnie z poleceniem cesarza, wszelkich heterii, czyli zeremonii (stowarzyszeń) a chrześcijanie

przecież mieli zwyczaj gromadzić się dla swych obrzędów. Zarzut ten powtórzony w II w. ówczesny krytyk chrześcijaństwa Celsus, pisząc, że chrześcijanie tworzyli sprzeczne z prawem związki na sposób obcych, nierzymskich sekt i grup religijnych.

W sumie jednak w całej sprawie gnębi Pliniusza fakt, iż nie znalazł w źródle w tym wszystkim „nic innego jak tylko nedoręczne przesady”, dające przecież nikłe podstawy do karnego ścigania. Wątpliwości jego rozwiewa wszak odpowiedź cesarza Trajana: „Postąpiłeś tak, jak powinieneś być postąpić, mój Sekundusie, przy przeprowadzaniu śledztwa w stosunku do tych, o których doniesiono ci, że są chrześcijanami. Nie można bowiem podejmuwać ogólnej decyzji, która miałaby ściśle określoną formę. Wyszukiwać chrześcijan nie należy. O ile byliby donosy i oskarżenia, należałoby oskarżonych karać, jednak tak, ażeby ten, kto zaprzeczy, że jest chrześcijaninem i potwierdzi to swoim zachowaniem — to znaczy zanoszeniem modłów do naszych bogów — to chociażby były podejrzenia co do jego przeszłości, niechaj uzyska przebaczenie ze względu na okazaną skruchę. Natomiast pisma anonimowe przy żadnym przestępstwie miejsca mieć nie mogą. Jest to bowiem najgorszy sposób postępowania i sprzeczny z duchem naszych czasów” (tłum. L. Winniczuk).

List ten stanowi właściwie pierwszy akt prawny, określający zasady postępowania karnego przeciw chrześcijanom. Dodać trzeba, że formę listu często przybierały w Rzymie instrukcje cesarskie dla namiestników prowincji lub ogólnie obowiązujące rozporządzenia (reskrypty). Otóż postępowanie przeciw chrześcijanom nie było prowadzone z urzędu, a jedynie na podstawie (nie anonimowych!) donosów i oskarżeń. Postępowanie dowodowe jest oryginalne, albowiem oskarżony „zanoszeniem modłów do naszych bogów” ma zaprzeczyć, iż jest chrześcijaninem. W przeciwnym razie podlega karze. Za co? Za to, że jest chrześcijaninem, czemu nie zaprzeczył.

**K**WESTIA karania za samo przyznawanie się do chrześcijańskiej wiary powraca jeszcze za następnego cesarza — Hadriana. Otóż z pytaniem takim zwrócił się do niego prokonsul Azji Mniejszej: czy słuszne jest skazywanie ludzi nie obciążonych żadną zbrodnią, a jedynie z powodu samej nazwy ich sekty? Odpowiedź nakazywała trzymać się wytycznych Trajana, co oznaczało, że oskarżenie musi mieć charakter indywidualny oraz należyte umotywowanie. Nie „wystarczą krzyki tłumu, by podjąć kroki przeciw chrześcijanom.

Odpowiedź Hadriana, tak „jak poprzednio Trajana, ma charakter i znaczenie rozporządzenia cesarskiego. W ten sposób określone zostały prawne podstawy, chociaż co do sytuacji samych chrześcijan, niepewność pozostała. Nie zarządza się wprowadzić generalnych prześladowań, nie sporządza list proskrypcyjnych, ale narażeni są oni stale na denuncjacje ze strony miejscowej — pogańskiej czy żydowskiej — ludności.

Donosy i oskarżenia przeciwko chrześcijanom mogły powoływać się na inną jeszcze podstawę — przestępstwo obrazy cesarskiego majestatu (crimen laesae maiestatis). Oskarżenie o to bardzo pojemne w treści przestępstwo mogło mieć przyczynę np. w zebraniach chrześcijan, odbywanych potajemnie, a więc nasuwających podejrzenie o spiskowanie przeciwko władzy. Trzeba pamiętać, że cesarze rzymscy — jak zresztą wszyscy chyba władcy — byli bardzo czuli na ich punkcie sojsków i zamachów na ich życie lub władzę. A chrześcijanie głosili ponadto przyście nowego królestwa i nowego króla! „Oto ja, co wierzają cały świat, przybyli i tutaj... Wszyscy oni występują przeciw dekretem cesarskim, głosząc innego króla Jezusa” (Dz. Ap. 17, 6—7).

Odrzucali ponadto oficjalny kult bogów i odmawiali składania ofiar im oraz cesarzowi. To już była obraza majestatu i świętokradztwo. Od Augusta właśnie cesarze byli zawsze najwyższymi kapłanami rzymskiej religii państwowej oraz sprawowali nadzór nad całokształtem kultu religijnego. Wyznanie wiary w nowego króla było więc wystarczającym powodem do oskarżenia o przestępstwo przeciw cesarzowi. Bo jeśli wyznają władzę jednego tylko króla — wołał Celsus — to przecież nic już nie uchroni przed nimi cesarza!

Nie chcieli też na ogół udzielać się w funkcjach publicznych oraz w służbie wojskowej, co mogło — w razie potrzeby — być uznane za odmowę udzielenia wsparcia cesarzowi. Niekiedy ruch chrześcijański określany był też jako rewolucyjny, tworzyli bowiem oni własne grupy z własnymi normami i własnym sposobem życia. Naruszenie w ten sposób dotychczasowego porządku wprowadzało niepokój i niebezpieczeństwo dla stabilizacji społeczeństwa i państwa — i o to mogli być również chrześcijanie oskarżeni.

Z kolei, praktykowanie nieznanych Rzymianom kultów i obrzędów mogło być powodem oskarżenia o magię, a było to wówczas poważne przestępstwo. Zarzut taki formułuje jeszcze w II wieku wspomniany już filozof i przeciwnik chrześcijaństwa Celsus, uznając m.in. czyny cudowne Jezusa za magiczne sztuczki, a chrześcijańskie nabożeństwa za praktyki czarodziejskie.

Jak widać, gdy Pliniusz zastanawiał się, czy samo przyznawanie się do wiary chrześcijańskiej stanowi już przestępstwo, czy też muszą mu towarzyszyć inne, uznane już za przestępstwa, to miał do wyboru spory katalog występków, o które mógł obwinąć chrześcijan bez wątkania w samą ich religię.

Rozporządzenia Trajana i Hadriana określały również postępowanie w sprawach przeciwko chrześcijanom, ale ich prawny charakter jest niejasny i ciągle dyskusyjny. Urzędnicy rzymscy dysponowali przede wszystkim siłą władzą (imperium), pozwalającą im na stosowanie przymusu karno-administracyjnego i wymierzanie kar, nawet kary śmierci. Orzekali wówczas bez formalnego procesu, i to w sprawach o czyny uznane przez urzędnika za sprzeczne z prawem, choćby nie było do tego wyraźnej ustawy karnej. Tak właśnie mógł Pliniusz ukarać chrześcijan śmiercią „za upór i nie dającą się przelać krnąbrność”, okazywaną

wobec niego jako namiestnika prowincji.

Prawo miecza (tzw. ius gladii), a więc prawo wymierzania kar gardłowych, nie przysługiwało jednak urzędnikom w stosunku do obywateli rzymskich, którzy mogli zawsze odwołać się do rzymskiego sądu. Tak właśnie z uprawnień obywatela rzymskiego skorzystał św. Paweł, uwięziony w Jerozolimie przez namiestnika Cezarei Palestyńskiej i odesłany następnie do Rzymu przed sąd cesarski.

Podobnie postąpił Pliniusz oraz namiestnik rzymski w Lyonie podczas opisanych już prześladowań. Oddzielił on obywateli rzymskich, przynajmniej się do chrześcijaństwa, od pozostałych chrześcijan i zwrócił się w sprawie tych pierwszych do cesarza. Ten polecił osądzić ich i — upierających się przy nowej religii — ukarać. Jako obywatele rzymscy skorzystali z honorowego sposobu wymierzenia kary śmierci, tzn. zostali ścięci mieczem, w odróżnieniu od pozostałych, rzuconych na arenę.

Z drugiej strony, nie jest wykluczone, że rozporządzenia Trajana i Hadriana, określające postępowanie w sprawach przeciw chrześcijanom, odnosily się do stosowanego już wówczas procesu kognicyjnego przed cesarzem lub jego reprezentantem. Karano wówczas chrześcijan za możliwe im do przypisania przestępstwa (p. wyżej), bez wprowadzania osobnej procedury i bez odrębnych dla nich przepisów.

Polityka prawna następnych cesarzy była zróżnicowana. Septymiusz Sewerus wydał ok. 200 r. edykt zabraniający zmiany religii, a zwłaszcza przejścia na chrystianizm lub judaizm. Przepis ten, tolerujący istniejących już wyznawców, uderzał w nabór nowych zwolenników.

Za Aleksandra Sewera przestaje być przestępstwem samo „bycie chrześcijaninem”. Ale w 257 r. cesarz Walerian wydał edykt zabraniający kultu chrześcijańskiego i zgromadzeń na cmentarzach oraz zobowiązujący członków hierarchii pałacowej do złożenia rytualnych ofiar. Ten sam cesarz nakazał egzekucje wobec tych spośród kleru, którzy ofiary nie złożyli.

Kolejne ustawy wydał Dioklecjan w latach 303—304. Zakazał on chrześcijanom odprawiania nabożeństw, a nakazał zniszczenie ich ksiąg i przedmiotów liturgicznych. Doznali też chrześcijanie uszczerbku w prawach i godnościach obywatelskich. Samo przyznawanie się do chrześcijańskiej wiary nie podlegało karze, ale nakazano — pod groźbą kary śmierci lub dożywotniej pracy w kopalniach — udział w składaniu ofiar na terenie całego cesarstwa.

Ustawy te wcielił systematycznie i z całą surowością również następny Dioklecjan — Galeriusz i Maksymian Daja. Skutki były krwawe. Tak krwawe, że skłaniają do osobnego zastanowienia się nad rozmiarami i przyczynami szokującego nadal w prześladowaniach okrucieństwa kar, tortur i kaźni.

(Koniec odcinka 2. —  
dokończenie nastąpi)

AD VOCEM

## MONARCHIA

„Mędrcy świata, monarchowie, gdzie spieszcie dążyć? Powiedzcież nam, Trzej Królowie, chcecie widzieć Dziecię?” Połączenie mędrców z monarchami (Królami) znane jest nie tylko z koledy. Już według Platona podstawową cechą ustroju doskonałego była mądrość. Jeśli wśród rządzących jeden wyróżniał się właśnie mądrością, to powstało królestwo (monarchia), a jeżeli było takich ludzi więcej — ustrój arystokratyczny. Również u Arystotelesa monarchą powinna być osoba górująca swymi cnotami nad innymi obywatelami. Ustrój monarchiczny umieszcza tenże filozof na czele prawidłowych form ustrojowych; odchyleniem od nich byłaby tu tyrania.

Koncepcja króla-filozofa, a przynajmniej władcy otoczonego filozofami jako doradcami, powraca wyraźnie w epoce Oświecenia i staje

się podstawą idei absolutyzmu oświeconego. Odnaleźć ją też można w wielu utopiach kreujących wizję doskonałego państwa i społeczeństwa. Znany jest nam taki ustrój również z baśni, w których z reguły panował mądry król lub cesarz (też monarcha!). Niekiedy okazywał się wprawdzie głupi albo nagi, ale w każdym razie hierarchia była prosta: był Bóg, był król oraz lud, a w rezultacie zrozumiały porządek, w którym każdy znał swoje miejsce. Dzisiaj u nas nawet dzieci nie są tak naiwne, by uwierzyły, że może istnieć porządek w państwie.

Zapewne dlatego nie powróci do nas monarchia, choć mamy bogate tradycje królewskie oraz współczesne kluby nowych monarchistów. Będziemy też mieli orła w koronie, a i kandydatów do tronu, niekiedy niekiedy spośród mędrców, nie zabrakłoby. Powrócić warto natomiast do Platona i jego koncepcji państwa doskonałego, gdyż można tam znaleźć i tę niewyszukaną, lecz prawdziwą filozofię, iż niezależnie od ustroju całe państwo zasługuje na miano mądrego wtedy, gdy ma po prostu mądry rząd.

Arcus M.

**W**EKIPIE spadochronowej nr XVIII, która wystartowała wieczorem 25 stycznia 1943 roku dwoma samolotami z zadaniem dokonania zrzutu skoczków (6 „Cichociemnych” i 2 kurierów) w okolicach Radomia (oper. „Brace”) i Łowicza (oper. „Screwdriver”), interesują nas szczególnie losy por. rez. piechoty **MIECZYSLAWA JOZEFA KWARCINSKIEGO**, urodzonego w 1912 roku.

Jako pracownik PKP, w 1939 zmobilizowany nie był, ale ledwo umilkły strzały wrześniowej kampanii, przeszedł karpackim szlakiem na Węgry i wstąpił do Wojska Polskiego we Francji. W służbie liniowej chyba nie był; dopiero w Anglii znajdujemy go w 3 Brygadzie Kadrowej Strzelców i wkrótce potem w Samodzielnej Brygadzie Spadochronowej — tym „inkubatorze Cichociemnych”.

Szkolony w dywersji i sabotażu przemysłowym, otrzymał po wyładowaniu w kraju przydział do Okręgu Lubelskiego AK jako szef „Kedywu” Inspektoratu Rajonowego Radzyń. Funkcję tę pełnił do jesieni 1943, po czym przeniesiony został na stanowisko komendanta radiostacji polowej nr 77 i — jednocześnie — oficera łączności w Insp. Rejonowym Zamość.

W 1944 roku, kiedy rozkazem Komendanta Okręgu rozpoczęto przygotowania do akcji „Burza”, połączone z odtwarzaniem większych jednostek, objął obowiązki oficera łączności Zgrupowania O.P. 9 — późniejszego 9 pułku piechoty Legionów AK.

„Cichociemny” kapitan Kwarciniński „Ziut” (używał także pseudonimów „Jaskółka” i „Leszcz”) odznaczony został Krzyżem Srebrnym „Virtuti Militari” i dwukrotnie Krzyżem Walecznych. Kraj opuścił w 1946 roku. Zmarł w 1978 roku w Londynie.

**„CICHOCIEMNY” PIOTR NOWAK**, ps. „Oko”, jest na naszej liście pierwszym podoficerem (w toku służby awansowany do st. podporucznika czasu wojny).

Urodzony w 1915 roku — w kampanii wrześniowej walczył w szeregach 21 Bielskiej Dywizji Piechoty Górskiej w obronie Śląska Cieszyńskiego, potem na przeprawach przez Dunajec i w walkach odwrotowych (aż pod Lwów). Zresztkami 5 baonu telegraficznego internowany na Węgrzech, skąd przedostał się do Francji. Początkowo pełnił służbę w radiostacji rządowej, potem w 3 Dywizji Piechoty. W Anglii był wykorzystywany stale w służbie łączności, przy czym często zmieniano mu przydziały. Na kurs „Cichociemnych” trafił z 11 komp. łączności.

Skakał w operacji „Spokeshave” (ekipa XXII) na placówkę „Pies” w powiecie opoczyńskim, w nocy z 19 na 20 lutego 1943 roku. Otrzymał przydział do Oddziału V Komendy Głównej jako radiotelegrafista w 1 plutonie kompanii radiolączności „Kram”, potem był instruktorem w kompanii „Omnibus”.

W grudniu 1943 roku wysłany został do Lublina jako okręgowy instruktor łączności radiowej. W czerwcu 1944 roku odwołany z powrotem do „Kramu”. W Powstaniu uruchomił radiostację 2. rzutu Komendy Głównej na Lesznie, potem radiostację powstańcza „02”. Służył następnie jako radiotelegrafista radiostacji „01” w Śródmieściu i dalej, aż do kapitulacji, w obsłudze radiostacji „Zenona” na ul. Szustra (Mokotów). Z transportu jenieckiego zbiegł i od października 1944 roku do 19 stycznia 1945 roku dowodził plutonem radiolączności Wydziału Lotniczego Komendy Głównej AK.

Po rozwiązaniu Armii Krajowej rozkazem gen. „Niedźwiadka” (L. Okulickiego) przeszedł „do cywila”, atoli wicną 1945 roku został aresztowany i wywieziony do ZSRR, skąd powrócił dopiero w końcu 1946 roku.

Odznaczony Krzyżem Srebrnym „Virtuti Militari” i Krzyżem Walecznych.

Kolejną ekipa XXIV, która skakała w nocy z 13 na 14 marca 1943 roku, była wyjątkowo liczna: na 5 placówek wystartowały samoloty „Halifax”, wiozące aż 20 zrzutków. W operacji „Stock” skoczyli na placówkę „Kozia”: plk dypl. Kazimierz Iranek-Osmocki („Antoni”), ppor. Witold Strumf („Sud”), ppor. Jan Herl („Frog”) i ppor. Czesław Rossiński („Kozioł”, „Jemiola”).

**Z LUBELSZCZYZNĄ** wiążą się losy dwóch ostatnich. **JAN HERL**, ps. „Frog”, podporucznik broni pancernej rez., miał lat 22. W kampanii wrześniowej oddziału nie brał — przez Węgry przedostał się do Francji i, już w październiku 1939 roku, przyjęty został do Szkoły Podchorążych. Po jej ukończeniu służył w 10 Brygadzie Kawalerii Pancernej (14 p. ul. i 16 baon czołgów).

Szkolony w dywersji, po skoku uzyskał przydział do Okręgu Lubelskiego. Funkcją swą w „Kedywie” objął nie zdążył. Aresztowany w Warszawie 29 kwietnia pod nazwiskiem „Stanisław Kolski”, w dziewięć dni później został rozstrzelany w ruinach getta.

Pośmiertnie odznaczony Krzyżem „Virtuti Militari” V klasy.

**P**OR. rez. piechoty **CZESŁAW ROSSINSKI**, ur. w 1907 roku, w roku 1939 służył w baonie „Oran” Korpusu Ochrony Pogranicza. Po wkroczeniu 17 września 1939 roku Armii Czerwonej na ziemie Rzeczypospolitej, przekroczył granicę litewską i został internowany. Przed zajęciem Litwy przez ZSRR udało mu się uciec — przez Szwecję — do Francji, gdzie służył w 3 pułku grenadierów. W walkach tych był kontuzjowany, na tyle lekko, że nie przeszkodziło mu to w przedostaniu się do Wielkiej Brytanii, gdzie uzyskał przydział do 1 Brygady Strzelców. Szkolony był w dywersji.

Pierwszym liniowym przydziałem Rossińskiego był „Kedyw” Inspektoratu Rejon. Radzyń, gdzie początkowo pełnił funkcję oficera dywersji, kierując głównie akcjami kolejowymi. Po przeniesieniu por. „Ziuty” (Kwarcinińskiego) w Zamojskie, objął po nim funkcję szefa „Kedywu” Inspektoratu Radzyń. W styczniu 1944 roku mjr „Lucjan”, szef Okręgu Lubelskiego AK,

przenosi ppor. „Kozia” — Rossińskiego do „Kedywu” Lublin-miasto, zlecając mu dowództwo oddziału dywersyjnego. W kwietniu tegoż roku „Kozioł” obejmuje dowództwo oddziału dywersyjnego „Kedywu” Lublin — powiat, potocznie nazywanego oddziałem „Jemioly”, który w czasie „Burzy” stanie się 3 kompanią 8. p.p. Leg., okrytą sławą w wielu znakomitych akcjach dywersyjnych i bojowych.

Po wkroczeniu Armii Czerwonej do Lublina w lipcu 1944 roku — represje, aresztowania i deportacje do ZSRR żołnierzy Armii Krajowej stworzyły sytuację, w której ppor. „Jemiola” — Rossiński nie mógł pozostawić podkomendnych swojemu losowi i musiał pozostać w zbrojnym podziemiu. W ten sposób zresztą postępowali wszyscy dowódcy oddziałów partyzanckich AK, którzy świadomość odpowiedzialności za swoich żołnierzy wyżej cenili niż własną głowę.

Aresztowany 23 grudnia 1944 roku przez organy resortu bezpieczeństwa, został zamordowany na Zamku w Lublinie, 12 kwietnia 1945 roku, strzałem pistoletowym w kark.

Był kawalerem Krzyża Srebrnego Orderu Wojennego „Virtuti Militari”. Nazwisko jego figuruje na tablicy pamiątkowej po prawej stronie krzyża, strzegącego — wydzielonej na skraju lubelskiej nekropolii przy ul. Unickiej — kwatery, poświęconej pomordowanym i zamęczonym na Zamku w latach 1944—1954. Grobu jego nie odnajdzie już nikt. Ale żyje w pamięci swoich żołnierzy i żyć będzie w pamięci przyszłych pokoleń. Na równi ze wszystkimi, którzy za swoje przyjęli zawołanie: „Tobie — Ojczyzno”.

**EDWIN MIKOŁAJ SCHELLER** („Czarny”) w roku 1939 uczestniczył jako elew „Przysposobienia Wojskowego” w działaniach przeciwko niemieckiej „V kolumnie” w Bydgoszczy (2—3.09.1939 r.), potem dołączył, jako ochotnik, do bydgoskiego 62 pułku

bieta Zawadzka — jedyna kobieta „Cichociemnia” — i ppor. „Drabina”, Fryderyk Serafiński.

Por. Połoczyk walczył w 1939 roku w krakowskiej Brygadzie Kawalerii, która po ciężkich walkach w dniach 1 i 2 września w rejonie Woźnik cofała się, osłaniając prawe skrzydło Armii „Kraków”. 5.9.1939 r., po ciężkich stratach pod Pińczowem, brygada cofała się za Wisłę, osłaniając przeprawę pod Baranowem. By później, w dniach 16—17 września, stoczyć krwawe boje pod Tarnogrodem i Tomaszowem.

Ranny pod Jaworzyną por. Połoczyk zdołał przedostać się do Rumunii, gdzie został internowany. Z nie wygojonymi jeszcze ranami uciekł z obozu i przedostał się do Francji, gdzie służył w 2. Dywizji Strzelców Pieszych. Po klęsce znalazł się w Anglii — wcielony początkowo do Dywizjonu Pociągów Pancernych, potem przeniesiony ochotniczo do Samodzielnej Brygady Spadochronowej. Szkolony był w dywersji technicznej i technice odbioru zrzutów.

W kraju — decyzją Komendy Głównej — przydzielony został do Oddz. Komendy Okręgu w Lublinie na stanowisko początkowo zastępcy, potem szefa Oddziału Odbioru Zrzutów. Funkcję tę pełnił aż do lipca 1944 roku, do wkroczenia Armii Czerwonej. W listopadzie został aresztowany i wywieziony do ZSRR, gdzie przebywał do końca 1948 roku. Odznaczony Krzyżem „Virtuti Militari” V klasy.

Kolejna ekipa spadochronowa, nr XXX, była najliczniejszą z dotychczasowych. Uczestniczyło w niej aż 15 oficerów (przeważnie przeszkolonych w łączności radiowej). Zrzutu miało dokonać 5 samolotów; równocześnie przeznaczono 7 maszyn dla dokonania zrzutu ponad 70 zasobników i około 50 paczek, zawierających sprzęt i części zapasowe do aparatury łącznościowej.

## „CICHOCIEMNI” NA LUBELSZCZYZNIE

### Wojciech Kozłowski — „Tomek”

piechoty. Wraz z pozostałymi oddziałami 15 D.P. cofał się nad Bzurą, gdzie, ranny, dostał się do niewoli niemieckiej.

W drodze do stalagu zbiegł z transportu, by drogą przez Węgry dotrzeć do Francji. Tam wcielony został do 5. pułku 3. Dywizji Strzelców Pieszych, a potem do Szkoły Podchorążych, którą ukończył w stopniu podporucznika piechoty dopiero w Anglii. Służbę dalszą odbywał w 1. Bryg. Strzelców.

Po zgłoszeniu się — jako ochotnik — do służby w kraju i odbyciu przeszkolenia spadochronowego, szkolony był w wywiadzie. Skakał do kraju nocą z 13 na 14 marca 1943 roku, w operacji „Tile”, na placówkę odbiorczą „Olcha” (około 10 km na południowy wschód od Kielc). Operacja zrzutowa przebiegła bez większych problemów.

Otrzymał przydział do Oddz. II (wywiad ofensywny) Komendy Głównej AK, pełnił służbę oficera wywiadu do jesieni 1943 roku, po czym przeniesiony został na stanowisko zastępcy szefa ekspozytury lubelskiej. Aresztowany został w Lublinie przypadkowo, w czasie łapanki, 15.02.1944 roku. Osadzony został na Zamku, skąd, po trzech miesiącach, udało się uwolnić go za łapówkę. Jako „spalony”, teren Lublina musiał opuścić — dalsze jego losy nie są znane. Odznaczony Krzyżem Srebrnym „Virtuti Militari”. Używał pseudonimu „Fordon” i „Łoże”.

**W**SZESER dni później, z 19 na 20 marca 1943 roku, w operacji „Beam”, na placówkę „Mewa” koło Opoczna skoczył z dwoma towarzyszami ppor. rezerwy piechoty **IGNACY JAKUB KONSTANTY**, ps. „Smaragd”. W kampanii 1939 roku nie walczył (nie zmobilizowany), przez Węgry dotarł do Francji. Tam służył w 7. pułku piechoty (3 DP); w Anglii — w 1 Brygadzie Strzelców.

Po skoku przydzielony został do Zgrupowania OP-9 na Zamojszczyźnie (późniejszy 9 pułk piechoty Legionów) jako oficer do zleceń. Służbę tę pełnił do czerwca 1944 roku, po czym odesłany został do Warszawy. Walczył w Powstaniu na Żoliborzu. Odznaczony Krzyżem Srebrnym „Virtuti Militari”. Zmarł w 1972 roku w Nowym Sączu.

Ekipa XXVII, do której należał „Smaragd”, była przedostatnią w tym sezonie zrzutowym („Intonacja”). Nadeszły znowu letnie, krótkie noce, uniemożliwiające względnie bezpieczny przelot pojedynczych samolotów nad terytorium Polski. W tym czasie niemiecka obrona przeciwlotnicza była jeszcze dostatecznie silna.

Nowy sezon zrzutowy („Riposta”) otworzyła ekipa nr XXIX w nocy z 9 na 10 września 1943 roku (operacja „Neon-4”), skacząc na placówkę „Solnica”, na północ od Lublina.

**S**KOCZYŁ wtedy do kraju porucznik rezerwy 5. pułku strzelców konnych **BOLESŁAW JAN POŁOCZYK**, przyjmując pseudonim „Kryształ”. Jego towarzyszami w tej ekipie byli: „Zo” Elż-

Z wyznaczonych do operacji 12 „Halifaxów” wystartowało 11, jeden miał uszkodzenie bezpośrednio po starcie i powrócił do bazy. Cztery samoloty zostały zestrzelone wraz z załogami; z pozostałych siedmiu, aż cztery wróciły poważnie uszkodzone. Noc tę nazwano „czarną nocą” 138 Dywizjonu Specjalnego Przeznaczenia, któremu zlecono wykonanie tego zadania.

**W**OPERACJI o kryptonimie „Neon-10” wylądował w okolicy Garwolina ppor. **HENRYK OSTROWSKI**, ps. „Smyk” (później „Jaśmin”), jeden z najmłodszych (jeśli nie najmłodszy!) „Cichociemnych” (ur. 18.9.1924 roku — nie miał więc ukończonych 19 lat!).

W kampanii wrześniowej nie uczestniczył — miał wtedy lat 14. Deportowany został do ZSRR. Do Wojska Polskiego trafił jesienią 1941 roku. Otrzymał przydział do 24 pułku piechoty w 8 Dywizji, z której skierowany został do Szkoły Podchorążych Łączności. Bezpośrednio po ukończeniu podchorążówki zgłosił się na kurs spadochronowy i przeszkolenie „Cichociemnych”.

Jako podporucznik „Smyk” pełnił początkowo służbę radiotelegrafisty w kompanii „Kram” w V Oddziale Komendy Głównej AK; w marcu 1944 roku skierowany został do Oddz. V Komendy Okręgu AK w Lublinie na stanowisko dowódcy II plutonu w lotnym oddziale łączności o kryptonimie „Pająk”. Za służbę swoją odznaczony został Krzyżem Srebrnym Orderu „Virtuti Militari”.

**T**EJ samej „czarnej nocy” lądował w operacji „Neon-8” w okolicy Tluszcza (pow. Radzymin) ppor. rez. łączności **STANISŁAW KUJAWSKI**, ps. „Wodnik”, „Zonkil”. Urodzony w roku 1920, walczył w 1939 roku w obronie Grodna, potem internowany w ZSRR, „Amnestionowany” w roku 1941. Dość późno chyba, bo w 1942 roku trafił do Wojska Polskiego, uzyskując przydział — podobnie jak Ostrowski — do 24 p.p. 8 Dyw. Piechoty. Stąd Szkoła Podchorążych i przeszkolenie w radiotelegrafii w Anglii, dalej kurs spadochronowy i szkolenie „Cichociemnych”. Lądował na placówkę odbiorczą „Czajnik”.

Przez Oddział V KG AK desygnowany na stanowisko dowódcy radiostacji nr 11 w Inspektoracie Rejonowym Radzyń (Okręg AK Lublin), funkcję tę pełnił aż do wkroczenia na Lubelszczyznę Armii Czerwonej. Stała osłona radiostacji stanowił oddział partyzancki „Zenona”.

Porucznik „Zonkil” (awans otrzymał pod koniec 1944 roku) odznaczony został Krzyżem „Virtuti Militari” V klasy i Krzyżem Walecznych. Od roku 1946 na emigracji w Wielkiej Brytanii.

(Koniec odcinka 3. — dokończenie nastąpi)

## Poszukiwacze skarbów, tropiciele złota, posiadacze tajnych planów?



Fot. Archiwum

**N**IE potrafię powiedzieć, kto podrzucił mi los tej loterii. Nie potrafię wskazać siły, która postawiła mnie na polach Drażgowa. Tak samo zresztą jak nie wiedziałem, co mnie tam czeka. Po głowie ganiały domysły, wątpliwości i nadzieje, w zależności od pogody, nastroju, zmęczenia biorące kolejno górę nad skołowaną wyobraźnią. A tak naprawdę, gdyby jeszcze kilka miesięcy temu znalazł się prorok przepowiadający mój „wyskok” z ukochanej Kotliny Hrubieszowskiej, to żaden makler giełdowy nie odważyłby się proponować obstawienia tej wiadomości. Życie płata figle, życie szuka dróg niemożliwie pokreślonych, życie kocha zaskakiwać — dałem się zaskoczyć.

Zaczął się tak zupełnie zwyczajnie. Na biurku ktoś położył kiepskie amatorskie fotografie, z których tylko dzięki nadgorliwej wyobraźni odczytałem archeologiczne przedmioty. Nie było w nich nic nadzwyczajnego. Ot ileś tam milionowa skorupa naczyń, kawał zardzewiałego żelaza, drobin spalonych kości. Musiało jednocześnie być w tych zdjęciach coś na tyle niepokojącego, na tyle magnetycznego, że pojechałem oglądać zbiory Szkoły Podstawowej w Sobieszynie.

Zaskoczyła mnie fachowość prowadzenia tamtejszej kolekcji. Nie przedmioty miały metryki z datami pozyskania i nazwiskami ofiarodawców. Każdy zabytek miał miejsce w przeszklonej gablocie. Moje zdumienie rosło jednak, kiedy zacząłem studiować je po kolei. Jawiły się one jak brakujące kartki z czytanej wcześniej książki, których nieobecność nie pozwalała na płynne śledzenie wartkiej akcji. Ich prahistoryczna wymowa układała się w logiczny ciąg zdarzeń, działań, zaistnień. Odtwarzała nieznaną lo-

sy tego skrawka Lubelszczyzny, przysłonięte kurtyną od bez mała dwóch tysięcy lat. Wiedziałem, że chwyciłem szansę, o jakiej marzą nieprzebrane zastępy archeologów. Szansę, należąca do tych jedynych. No i zaczęło się...

**K**OPATA z delikatnym szmerem zbiera warstewkę drobnitkiego piasku. Zaraz po tym następuje zaświst odrzuconego na hałdę i wszysko się powtarza. Tysiące jednostajnych manewrów. Uwaga przypięta do krawędzi stalowego ostrza. Bolące plecy, łzy w oczach. Piasek w oczach i ustach. Wszystko to nieważne.

W wytyczonych w różnych miejscach pola wykopach pochylone postacie, jak w per-futurystycznym balecie, powtarzają te same ruchy. Nagły zgrzyt spod ostrza nakazuje klęknąć. Dłonie pieszczotliwie odsuwają poruszony piasek i pojawia się porowata, brunatna powierzchnia. Teraz trzeba pedzłem omieść wszystkie zaproszenia. Przy pomocy szpachli, powoli wydobywa się nieregularnie wylamany fragment naczyń. Przez chwilę cieszy oko i dłoń. Przy odrobinie szczęścia można znaleźć na nim ornament, odcisk zboża, ślady przepalenia. Wędruje do stojącej przy ścianie torebki, która z wolna zapełnia się podobnymi kawałkami.

Przez wiele miesięcy dla mieszkańców Drażgowa byliśmy poszukiwaczami skarbów, tropicielami złota, posiadaczami tajnych planów. Oglądali nas najpierw z daleka, z miódz swoich pól. Potem, kiedy pierwsi z nich odważyli się na rozmowę z nami, na te szare skorupy patrzyli trochę z politowaniem, trochę z zawodem. Dla nas jednak każda z nich była pełnoprzmiotkiem, najwartościowszą informacją, dokumentem pozostawionym

przez tych, o których pamięta być może tylko to równe, piaszczyste pole.

Odrywam wzrok od piaszczystego wykopu i spoglądam na pięknie meandrującą Wieprz, który wartkim nurtem podcina wysokie skarpy koryta, kradnąc co raz zagony, a wraz z nimi archeologiczne tajemnice.

**O**TO znikają za sprawą wyobraźni zabudowania Drażgowa. Jak w cofającym się filmie ulatuje sklep z zaprzyjaźnioną sklepową, zostawiającą dla nas pudełka. Odlatują traktory, wygładzają się ziemniaczane pola. Skarpa doliny, na której króluje wieża sobieszynskiego kościoła, zarasta bujnym lasem. Podmokła dolina wypełnia się gąszczem krzewów, dziko rosnących traw... i Wieprz jakby jaśniejszy. Pojawiają się ludzie. Gdyby istniał taki wielki niebieski zegar, to wskazałby początek I wieku przed narodzeniem Chrystusa. Najpierw zbierają się w gromadkę i zażarcie coś dyskutują. Potem wskazują na piaszczyste płaski pagór przy rzece i tam dzielą się na grupki. Już po kilku tygod-

swoich wykopów. Marek znajduje przeszłik. Anita fragment żelaznej piły...

**Ż**YCIE było tutaj podzielone pomiędzy mężczyzn i kobiety sprawiedliwie. Ci pierwsi polowali, bronili swego osiedla, budowali chaty, w pobliskiej rzece łowili ryby. One lepiły naczyń, tkwały, przygotowywały potrawy, miały baczenie na dzieciaki, które jak dzisiaj beztrudno ganiały po zaroślach nadrzecznych. Na pewno szybko zagospodarowano pod uprawę skrawki pól. Soczyste dno doliny sprzyjało hodowli. Może odwiedzano sąsiedów z osad gdzieś pod Dęblinem albo w okolicy „Zebraziej Góry” w pobliskim Sobieszynie? Z całą pewnością jednak nazywali te miejsca po swojemu, nadając im bliskie sobie nazwania. W długie zimowe wieczory siadali przy kamiennych piecach, układanych w narożnikach chat, i opowiadali niestworzone historie o kamiennych domach, budowanych gdzieś tam daleko przy wschodzącym słońcu, o cudownych wytworach z przezroczystej mą-

## SZUKANIE

### Andrzej Kokowski

niach bielą się drewniane, wpuszczone w ziemię chaty. Dymią wieczorem ogniska. Przy kamiennych paleniskach kobiety gotują jakieś pyszności. Po kilku miesiącach niosą na ramionach na ciepła palny stos pierwszego, który opuścił ich gromadę. Na miejsce grzebalne wybierają wyraźny pagórek, niecałe 200 m na północ od osiedla. Może rosły na nim brzozy?

**B**EATA macha w moją stronę obiema rękami. Biegnę, potykając się o głębokie bruzdy. Zadywany pochylam się na regularną jamę grobu, czarną od węgla zebranego ze spalonego stosu, naznaczoną jak gwiazdami bielą przepalonych kości. Jeszcze wczoraj cieszyliśmy się, odsłaniając ofiarowane zmarłemu naczynie. Teraz Koleżanka delikatnie odsuwa żółtą płachtę rozerwanej koperty i na tle wypełniska grobu opalizuje w jesiennym słońcu ostrze grotu włóczni. Zgodnie z wierzeniami, nadano mu kształt rozkołysanego języka ognia. Zgodnie ze zwyczajem, bronić miał na ośmiorniej drodze swego pana. Teraz ostrożnie przechodzi z rąk do rąk i pozwala nam podziwiać swoje piękno. Znika potem w warstwach ligniny, z których wyjdzie dopiero po zabiegach konserwatora. Rozchodzimy się do

terii, twardej jak kamień a rozsypującej się przy nierozważnym potrąceniu. Straszliwi się nawzajem groźnymi sąsiadami z północy, którzy z kupieckimi wyprawami trafiają do większych osiedli a ich rozbiegane oczy nie budzą zaufania.

**A**NITA odruchowo ociera twarz, pozostawiając na policzku czarną smugę węgla. Claude ukradkiem robi zdjęcie, które potem w dalekim Bordeaux pokazuje jako wzór archeologicznej pasji. Dziewczyna nie zwraca uwagi na otoczenie. Mozolnie przebiega się przez warstwę spalenizny wypełniającą zarys chaty. Taką samą znajdujemy w następnej i jeszcze następnej. Przy palenisku Magdalena z Beata wypręparowują rozbite naczynie. Wygląda tak, jakby ktoś kopnięciem wrzucił je z tej „kuchni polowej”. Wszyscy byliśmy czarni od spalenizny. Drobin węgla i popiołu, wysuszone w jesiennym słońcu, unosiły się jak mgiełka nad kopiącymi. Aby wykonać zdjęcie, trzeba było na kilkanaście minut przerwać pracę. Z ziemi tchnęło wielką tragedią...

**K**ONIEC II wieku naszej ery zapalił nad barbarzyńską Europą krwawą pochodnię. Zagony Gotów kołatały do bram Rzymskiego Im-

# KATASTROFA

## Henryk Sienko

**K**IEROWCA Spółdzielni Transportu Wiejskiego w Chełmie, 36-letni Lucjan Karpiński, 7 grudnia przyszedł do pracy o godz. 7.00. Kilka minut potem w zakładzie rozpoczęło się zebranie załogi. Spotkali się pracownicy należący do różnych organizacji: Solidarności, której członkiem był Lucjan Karpiński, OPZZ, PZPR i przedstawiciele dyrekcji. Mówiono o sprawach socjalnych, placach, ciężkich warunkach pracy kierowców w zimie. Zebranie trwało półtorej godziny. O 9.00 Karpiński wyjechał z bazy w trasę; miał zabrać buraki z Turowca i zawieźć je do cukrowni w Krasnymstawie. Od kilku tygodni bowiem chełmscy kierowcy jeżdżą jako „najemnicy” cukrowni.

**M**ASZYNISTA Janusz Cepa i jego pomocnik Mirosław Soj tego dnia również stawili się do pracy punktualnie, o czasie też wyruszyli w drogę. Na dworze było dżdżysto, odwilż, ale widoczność raczej dobra.

**P**O załadunku buraków w Turowcu Lucjan Karpiński rusza w kierunku Krasnegostawu. W Uchaniach zabiera pasażera, około 50-letniego mężczyznę.

Kierowcy przewożący buraki podczas kampanii — bardziej chyba dla „uatrakcyjnienia” podróży, niż z chęci zysku — zabierają po drodze pasażerów. Najczęściej są to rolnicy załatwiający w terenie różne sprawy. Zawsze to dobrze mieć kogoś w szoferce, łatwiej wówczas zneutralizować zmęczenie. Zresztą, kierowcy STW to przeważnie synowie chłopów. A na dworze zimno...

**P**O CIĄG relacji Dorohusk — Zamość, nr 2213, na stacji w Krasnymstawie wjeżdża według planu o godz. 11.00. O 11.01 rusza dalej. Mija niewielkie wzniesienie i rozpędza się... Zbliżając się do przejazdu z drogą do Małochwieja, osiąga szybkość 55 km na godzinę. Obok, po równoległe usytuowanej szosie mkną samochody w kierunku Zamościa. Około 50 metrów przed przejazdem pomocnik maszynisty krzyczy do kolegi: „Janek hamuj, bo nam się pcha pod koła!”.

**K**IEROWCA krasnostawskiej STW, Henryk Bożek również wiezie buraki do cukrowni. Od kilkunastu kilometrów jedzie za kamazem

Lucjana Karpińskiego. W Małochwieju chce go nawet wyprzedzić, stwierdza jednak, że szosa jest za wąska. Oba samochody do przejazdu zbliżają się z szybkością 30 km na godzinę. W pewnym momencie — truchleje z przerażenia! Jadący przed nim kamaz nie hamuje rutynowo przed przejazdem. Każdy kierowca robi to mechanicznie, ma to zakodowane w pamięci... A tu przecież działa sygnalizacja świetlnodźwiękowa. Z prawej strony zbliża się pociąg osobowy. Henryk Bożek zatrzymuje samochód. Zamyka oczy. Słyszy głucho uderzenie, łoskot żelastwa, zgrzyt... Otwiera oczy: chmury buraków fruują w powietrzu.

Wyskakuje z szoferki. Potężne cisko lokomotywy pcha przed sobą samochód, który przez kilkanaście kilometrów jechał przed nim. Sto metrów dalej lokomotywa wyskakuje z torów. Bożek biegnie w tym kierunku, widzi sterty zgniecionego żelastwa, poszarpane zwłoki mężczyzny, przeciętą na pół twarz. Nieco dalej leży drugi człowiek, oddycha, ma tylko nienaturalnie dużą głowę.

Z wagonów wybiegają ludzie, słychać płacz kobiet, piski dzieci, krzyk... Na szosie zatrzymują się samochody, powstaje zbiegowisko. Po kilkunastu minutach zjawia się pogotowie, zabiera rannego do szpitala. Kilka godzin później ranny umiera.

**J**OZEF Łukasik był jednym z pierwszych pracowników pobliskiego STW, który po usłyszeniu „wielkiego grzmotu” pobiegł na miejsce wypadku. Z trudem opowiada o tym, co zobaczył, pamięta tylko przy-

kryte derką zwłoki, krew.

— To nie pierwszy wypadek w tym miejscu — mówi. — Tyle, że tamte były mniej tragiczne.

W Krasnymstawie pod nadzorem prokuratury trwa śledztwo. W wyniku oględzin miejsca katastrofy i analiz pojawiły się już pewne wnioski i przypuszczenia. Za wcześniej jeszcze na końcowe wyniki, śledztwo zapewne potrwa dłużej, niemal jednak już dzisiaj można pokusić się o pewne hipotezy. Prokurator Bracha z Prokuratury Rejonowej w Krasnymstawie mówi mi o zmęczeniu i zaśnięciu za kierownicą jako prawdopodobnej przyczynie wypadku. Polecił milicji sprawdzić karty drogowe. I jest to

### PIERWSZA HIPOTEZA

— Kierowcy podczas trwania każdej kampanii bardzo dobrze zarabiają; w tym roku i po milionie co miesiąc. Być może zdrowy rozsądek przegrał tu z przemożną chęcią dorobienia grosza. Bywa, że jeden kierowca ciągnie i 24 godziny, zamieniając się kursami z kolegami. To proceder znany nie tylko w tym zawodzie — mówi prokurator Bracha, który zna te mechanizmy bardzo dobrze. Wie, że trudno będzie ustalić prawdziwy przebieg wydarzeń. Przypuszcza, że przeciwnicy hipotezy o zaśnięciu będą powoływać się na obecność w szoferce pasażera.

### HIPOTEZA DRUGA

wynika z zeznań świadków. Podobno ktoś machał z naprzeciwką rękami, ale kierowca nie zareagował. „Może się zagapił?” — mówią w STW i PKP.

perium. Przystawali do nich żądni awantury i zysków Sarmaci. Dakowie i wiele innych, nie znanych z imienia ludów. Jak po włożeniu kija w mrowiska w wielkiej panice pustoszyły pola Mazowsza, Lubelszczyzny, Wołynia, Podola. Ludzie, trwożnie oglądając się na północ, drząc przed imieniem Gotów, w pośpiechu ukrywali skarby rzymskich denarów, z których wiele miano wydobyć dopiero po 1800 latach. Opuszczano wsie i cmentarze. Gdzieniedzie dochodziło do krótkich, krwawych walk, po których zostały ślady w postaci grobów wojowników poległych pod Osówką w dzisiejszym lubelskim, Zdżannym w dzisiejszym chełmskim, Obrowcu koło Hrubieszowa.

Już w ostatnim dziesięcioleciu II w. Goci poczęli tworzyć w Kotlinie Hrubieszowskiej niezwykłą i nową kulturę, która wymagała kawałkowania zwłok zmarłych, oddawania czci zwierzętom, projektowania przemysłowych cmentarzy. W tym też czasie powstawały liczne osiedla na obszarze całej dzisiejszej Ukrainy. Przybysze z pół-

świtem, może w porze obiadu, a może już zmrok otulał drewniane zabudowania. Ile czasu potrzeba, by spaliły się drewniane bierwiona chaty? Ile trzeba czasu, by zniszczyć trzy stulecia historii tego miejsca?

Wyobrażam sobie, że płynęli blisko północnej skarpy Wieprza, pochyleni przy dnach długich łodzi dżubanek. Prąd ich niosł szybko i bezszelestnie. Nie musieli się porozumiewać, odnajdywać kierunku. Dymy nad zaroślami pokazywały im miejsce napaści. Zagubiony rybak mógł zginąć, nie wydając zbawiennego krzyku ostrzeżenia. Chociaż gdyby, nawet krzyknął, to kto usłyszałby go w gwarze codziennej krzątaniny?

Kiedy zapłonęła pierwsza z brzegu chata, musiała powstać panika. Wybiegli zza stromego brzegu z długimi mieczami w jednej ręce i pochodniami w drugiej. Domostwa zapalały się jak kłaki siana na łące i płonęły żywym, czerwonym ogniem. W sekundę zżarzył się stóg na skraju osady. Rozsypał przewrócony, z paleniska garnek.

W środku słyszę podpowiedź, że gdzieś widziałem takie materiały, ale gdzie?

Grzejemy dłonie na szklankach herbaty, wygodnie porozpierani wokół stołu „naszej” kuchni w Internacie Zespołu Szkół Rolniczych w Brzozowej pod Sobieszynem. Zrobiono dla nas tutaj wszystko, abyśmy mogli dobrze wypocząć, smacznie zjeść i spokojnie pracować. W lot odczytuje się nasze próśby i pragnienia... a my kręcimy się w miejscu — chociaż właściwie kręcąc się ja. Te pary oczu moich studentów czekają na wyrok — co teraz kopie?

Dni stają coraz krótsze. Coraz częściej pada deszcz i coraz później wracamy z pola. W kuchni cierpliwie czekają na nas z obiadem. Młodzież z wyraźnym szacunkiem ustępuje nam miejsc przy stolikach, a my od kilku dni pracujemy nad materiałem, którego nie potrafimy rozszyfrować. Tymczasem w polu pojawiły się ślady po innych chatach — długich, w których piece ustawione są przy ścianach. Rozkopujemy dziesiątki śladów po palach.

szkła. Nosili wymyślne ozdoby z brązu, a dziewczyna, która w trakcie wieczornych załotów zgubiła zapinkę, musiała żałować długo straty. Wdeptana w ziemię, wyjęta została spod szpachli archeologa dopiero teraz.

Skąd przyszedli ci niewyciężeni przecież? Otóż zwycięzcy też bywają nieraz pod wozem. Po awanturach, w jakie zostali wmieszani Goci przez zręcznych polityków rzymskich w IV w. n.e., część z nich, rozczarowana do realiów antycznego raju, postanowiła wrócić do swoich pradawnych siedlisk. Może przestraszyli się zagonów Hunów, tratujących stepy południowej Europy? A może po prostu nie mogli już znieść ciągłej tułaczki, wojny i narzekania kobiet. Przyszli cicho i równie cicho odeszli. Pozostały po nich buławie chaty z pozostawionymi na udeptanych podłogach resztkami jedzenia i pobitymi naczyniami. Nie towarzyszyły im odeszciu dymy pożarów. Pewnie wielokrotnie oglądali się na niekjące strzechy domostw, mozolnie wdrapując się na skarpy gdzieś w okolicy Sobieszyna lub Ułęża. Nawet nie wiemy, gdzie ich dalej szukać i czy ich znajdziemy kiedykolwiek...

## MINIONEGO CZASU

nocy stali się wkrótce panami wybrzeża Morza Czarnego. Padały po kolei miasta antycznego Pontu, ustępując miejsca nowemu tworowi politycznemu — Państwu Gotów.

Kiedy w prowincjonalno-rzymskich willach wielcy antycznego świata zapili się winem, po części lekceważyli zagrożenie z północnego wschodu, po części tylko martwili się utratą zysków — dochodziły wieści coraz straszniejsze. Zamierały trakty handlowe wiedzące na północ. Coraz trudniej było o bursztyn. Zachwiała się tysiącletnia w prorocztwach potęga Rzymu. Może to była tylko maleńka rysa na tym monolocie, może tylko kamień wyłupany z podwalin, ale Goci mieli teraz znaczący dla historii Imperium wiele, bardzo wiele.

Nie wiemy, jakie wrażenie i jaki wpływ na życie niewielkiego osiedla na torach drogowym polu wywarły pomruki dochodzące ze wschodu i północy. Nie wiemy też dokładnie, kiedy dopełniła się tragedia jego mieszkańców. Jeszcze z końcem II w. n.e. wszystko biegło tutaj według ustalonych tradycji norm. Jeszcze normalnie polowano, przygotowywano polewki, układano w stogi zboże, świeżo zniesione z pól. Jeszcze nie zakłóciło ciszy cmentarza, który widziało się z każdego punktu wioski. Może najeźdźcy pojawili się

Woda zalała kamienie, które pękały z sykami.

Po parunastu minutach było tutaj tylko płaskie, wypalone pole. Jedyne groby pozostały nienaruszone i świadczyły tym, których teraz zapędzono w nieznane.

Już następnej wiosny zielona trawa ukryła czarne plamy, a po kilku latach krzewy wróciły na swe pradawne miejsce. Nikt nie poznał, że było tutaj ludzkie siedzisko. Nikt o tym nie pamiętał — nikt?

**P**IERWSZY Marek zaczął odkładać na bok trochę dziwne skorupy o gładkich szarych powierzchniach. Później Beata przywołała mnie do rozgniecionego przez lemiech plugu naczynia z przedziwnym ornamentem. Jej imienniczka na wyciągniętej dłoni podsunęła mi fragment szklanego naczynia z zastygłymi pęcherzykami powietrza. Miałek kończył preparowanie kamieni, poprzątkanych ogryzionymi kośćmi wielkimi płatkami naczyń.

Coś tu jednak nie grało, coś tu usiłowało zakłócić, zdawałoby się: logiczne, wyobrażenie o rozkopywanym miejscu. Patrząc później na miarowe ruchy szcetek, usuwających zanieczyszczenia z powierzchni. Wsluchuję się w skrzypienie piórek, nanoszących numery inwentarza na każdym ułamku naczynia, i szukam, szukam punktu zaczepienia.

Grzebiemy się w popiole ognisk, wygasłych setki lat temu, z jednym już teraz pytaniem: kto je pozostawił? Przecież w III wieku już tego osiedla nie było. I nagle podaje mi ktoś skorupę tak niepozorną w swej szarżynie, która staje się jednak dowodem osobistym, paszportem, legitymacją i krzyczy na cały swój gliniary głos — wrócili GOCI!

Zaczynam rozumieć wszystko to, co niewiadome było przez ostatnie dwa tygodnie. Spada zasłona tajemnicy. Wszystko okazuje się proste i jasne. Odwróciła się kolejna karta w księdze prehistorii i możemy czytać dalej.

**M**INIEŁY dziesięciolecie — może sześć, a może siedem? — od tamtego pożaru, kiedy do skarpy Wieprza dotarli ponownie Goci. Może byli pokorniejsi. Najpewniej nie wiedzieli nic o spalonej przez pobratymców dwa pokolenia temu wiosce. A może właśnie pamięć o tym skierowała ich ponownie nad malowniczą pętlę osady. Przynieśli nie znane w tym miejscu wcześniej, delikatne i trwałe zarazem naczynia wykonane na kole garncarskim. Kupili je lub wymienili po drodze, mijając Kotlinę Hrubieszowską. Ktoś tam ukrył w przepastnych sarkofagach cenny puchar z zielonkawego

**W**SKAZÓWKA zegarka dawno minęła północ. Cisza już od dwóch godzin otuliła, zgodnie z regułem korytarze sobieszynskiego internatu. Zsuwam dłonią analizowaną przed chwilą garść skorup. Pakuję troskliwie do torebki z wypisaną metryką. Chwilę wsluchuję się w oddechy śpiących kolegów. Wymykam się jeszcze na moment do „naszej kuchni”. Zmęczony wzrok odpoczywa na liściach przebogatej i pięknie utrzymanej hodowli roślin. Czajnik zaczyna syczeć, zapraszając na ostatnią herbatę. Myśli błądzą swobodnie i budują wokół każdej z trzymanych nieruchomo skorupkę otoczkę ludzkiego życia — do tych Gotów i w gruncie rzeczy tragedii ich wielkiej wędrówki, która kazała ich rzucić z rodzinnej Gotlandii najpierw na Pomorze, potem poprzez stepy nadczarnomorskie aż do dalekiej Akwitania. Przywołuję pamięć o tych, którzy tutaj mieszkali przed nami. Uraść w oczach moich, w oczach archeologów ten Drążgów do rangi niezwykle wielkiej i ważnej — ognia łańcucha rekonstrukcji przeszłości. Pozwolił on na połączenie losu Kotliny Hrubieszowskiej z dziejami kamiennych kręgów ukrytych w lasach Borów Tucholskich. Zahaczyliśmy ponownie o Jordanesowe opowiadanie o „czynach i potędze” Gotów. Coraz natarczywiej upomina się o swoje prawa mityczne państwo Amazonek. Coraz węższy zakres ma pytanie — jak to się stało? Jak? Drążgów ukrywa w swej ziemi przynajmniej część odpowiedzi. Jeszcze nie oceniam, ale już wyczekiwana.

**P**RZEJAZD w Malochwieju był przed laty przejazdem strzeżonym. Okoliczni mieszkańcy twierdzą, że zlikwidowano go 15 lat temu. Przez ten czas było tam kilka kolizji, ale nikt z „inżynierii ruchu PKP” nigdy nie podważył zasadności likwidacji przejazdu strzeżonego. Urzędnicy z PKP twierdzą, że statystycznie na przejazdach strzeżonych zdarza się więcej wypadków niż na niestrzeżonych. To usprawiedliwienie brzmi wręcz demagogicznie!

Oglądałem miejsce wypadku, przeprowadziłem dziesiątki rozmów, wysłuchiwałem relacji, opinii, spostrzeżeń wielu osób. Najbardziej logicznie i prawdopodobnie zabrzmiała

### HIPOTEZA TRZECIA

sformułowana przez Dyrektora STW w Krasnymstawie, Jana Kiciakę. — Stwierdził on, że najprawdopodobniej Lucjan Karpiński, pokonując przejazd (przejeżdżał tamtędy codziennie) zachował się normalnie, może zbyt nonszalancko: był przekonany, że nie ma na torach żadnej lokomotywy i prawdopodobnie dlatego nie przyhamował. W miejscu zdarzenia tory kolejowe od szosy Krasnystaw — Zamość dzieli ledwie dziesięciometrowy pas ziemi pokrytej śniegiem. Trakty biegną równolegle przez kilkadziesiąt metrów. Być może obraz, po spojrzeniu w prawo, zlał mu się w zamazaną, mglistą całość. Było pochmurnie, lokomotywa i samochody sunące w kierunku Zamościa miały włączone światła. Mógł lokomotywę potraktować jako jedno z aut. Tym bardziej, że szyby jego kabiny były ubrudzone, a obok siedział pasażer...

## ROZMOWA Z MIROSLAWEM KACZOREM, PRZEWODNICZĄCYM ZGM „SOLIDARNOŚCI” RI W SIENNICY RÓŻANEJ, SZEFEM SPÓŁKI Z O.O. „SAMI SOBIE”

— Kiedy i z czyjej inicjatywy powstała spółka „Sami Sobie”?

— Pomysł zrodził się w sierpniu, ale ze względu na to, że jednym z udziałowców jest Solidarność, która wówczas jeszcze nie posiadała u nas osobowości prawnej, rejestracja odbyła się nieco później. Inicjatorem powołania tego gminnego przedsiębiorstwa byłem ja. Wcześniej wyłożyłem się na ogrodnictwie. W obecnych czasach, tak myślę, łatwiej będzie w przetrwaniu mięsa.

— Kim są udziałowcy firmy?

— Jest ich 29, w tym 22 producentów trzody chlewnej. Pozostali to rzemieślnicy, rolnicy, ogrodnicy, osoby prywatne, no i Solidarność. Wkład każdego z udziałowców wyniósł dziesięć tysięcy złotych, ale w statucie zastrzeżiliśmy, że w każdej chwili wszyscy zgadzamy się pomnożyć „to” przez piętnaście.

— W jakim stadium organizacyjnym jest aktualnie spółka?

— Adaptujemy lokal wydzierżawiony od SKR, przystosowujemy go na ubojnię i masarnię. Myślę, że szybko się z tym uporamy. Duży kłopot to zdobywanie maszyn. Nomenklaturowa spółka „Hespol”, sprzedająca owe ma-

szyny, oferuje nam termin sprzedaży w 1991 roku. Nie możemy sobie pozwolić na tak długie czekanie, a w „spomasach”, które specjalizują się w produkcji tego rodzaju maszyn, są one nieosiągalne.

— Tak więc majątek spółki „leży” i traci z dnia na dzień na wartości?

## „SAMI SOBIE” (PORADZĄ?)

— O nie, nie. Na to nie możemy sobie pozwolić. Będziemy tymi pieniędzmi obracać na bieżąco. Już w listopadzie zamierzamy — w ramach szeroko pojętej pomocy dla rządu Tadeusza Mazowieckiego — uruchomić produkcję i sprzedaż mąki, oczywiście po cenach znacznie atrakcyjniejszych dla konsumenta, niż w sklepach państwowych i spółdzielczych. Jest to rodzaj „naszej” pożyczki zbożowej. Według obecnej kalkulacji, kilogram wyprodukowanej przez nas mąki będzie kosztował ok. 600 zł, podczas gdy w pozostałych sklepach 800—1000 zł. Jest to cena „środka”: pomiędzy kosztem wyprodukowania, a ceną detaliczną w handlu.

— Gdzie można będzie ją kupić?

— Wojewoda obiecał przydzielić nam lokal na sklep w Chełmie, także samochód... Ale to, o czym tutaj mówię, to działalność obliczona tylko na czas oczekiwania na maszynę i przygotowanie masarni do pracy. Jeżeli jednak interes będzie na tyle intratny, że opłaci się go rozwinąć, to z tej mąki też nie zrezygnujemy. Zresztą w statucie mamy wykluczoną tylko produkcję dynamitu, działalność w kosmosie i emisję pieniędzy. Chcemy robić to, co będzie przynosiło zysk.

— Kto będzie robił wędlinę?

— O to się nie martwimy, przecież na wsi prawie każdy to potrafi. Mało to jest speców szykujących co tydzień mięsne delicje na wesela, komunie, chrzciny? Wystarczy postawić przy nich tylko administratora.

— Włóc kiedy będzie ta kiełbasa?

— W cztery dni po zabiciu pierwszej świni. Przewidujemy przerobic dziennie dziesiątki sztuk. Byle zdobyć maszynę.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: H. S.

Ps. Obiecanego lokalu wojewoda nie przydzielił. Udziałowcy „Sami Sobie” sprzedają hurtowo mąkę zakładom pracy.

# CZAS NADZIEI

## List do moich polskich przyjaciół po pobycie w Lublinie

W austriackim czasopiśmie „Die Furche” (nr 43 z 26 października 1989 r.) ukazał się pod tym właśnie tytułem artykuł prof. Harald Mandla. Autor, wykładowca wyższych uczelni, menedżer, kierujący pionem ekonomicznym firmy Waagner-Biró w Wiedniu, pisarz posiadający w swoim dorobku trylogię poświęconą problemom społeczeństwa postprzemysłowego, działacz społeczny szeroko znany w środowiskach katolickich, po swoim krótkim pobycie w Polsce, zafascynowany dokonującymi się u nas zmianami, napisał ujęty w formie listu, zamieszczony poniżej tekst, jako wyraz swojego moralnego poparcia dla naszego narodu.

ZOBACZYŁEM Was w te ostatnie słoneczne dni jesieni roku 1989 na własne oczy. W kolejkach przed sklepami mięsnymi, stoiskami ze swetrami, stacjami benzynowymi, ale również przed kioskami z gazetami, księgarniami! I na porannej niedzielnej mszy o godzinie siódmej — w skromnym kościele, nieledwie baraku na zakurzonej placu między licznymi wieżowcami — zobaczyłem Was napływających tłumnie (podążając za strumieniem pieszych znalazłem kościół), wewnątrz szczelnie wypełnione (po lewej, obok konfesjonu, oprawiona fotografia zamordowanego przystojnego młodego księdza Popieluszki; zgromadzonych na modlitewnym skupieniu wokół wejść. Z długiego kazania zrozumiałem jedynie słowa „ekonomia”, „konflikt”, „cywilizacja”, „bóg”.

Widziałem Was namiętnie czytających gazetę — i poruszonych pierwszą wieczorną wiadomością telewizyjną z 25 września; od jutra cena mleka wzrasta dwukrotnie! A potem zażenowane pytanie milego opiekuna, czy mógłbym wymienić jego oszczędności na twardą walutę. Złożyliśmy się w kilku i zebrałi sumę 600 szylingów.

Miejsce pamięci w więzieniu na Pawiaku w warszawskim getcie i ogromny, nowy, cios kamienny z białego marmuru (na nim wyryte żydowskie imiona); w skupieniu nawiedziłem miejsce z wielkim niemieckim napisem „Umschlagplatz” (skąd trzysta tysięcy ludzi zostało wywiezionych do obozów koncentracyjnych); imponujący nowy pomnik Powstania Warszawskiego; tablica pamiątkowa na bramie wysoko nad miastem królującego zamku w Lublinie — więzienie polityczne od około 1800 (Austria) do 1954 (Stalin); Autobusy zapelnione uczniami w obozie koncentracyjnym na Majdanku (jak baraki pełne więźniarskich ubrań i butów jeszcze dzisiaj śmierdzą!).

Ożywiony ruch na całkowicie zrekonstruowanym Starym Mieście w Warszawie (Zamek Królewski zrekonstruowany na podstawie obrazów Belotta!) i ulice Lublina: biedne, spokojne rodziny ustawiają się do okienek z lodami...

I słyszałem Was rozmawiających — inaczej, niż tego oczekiwałem po historycznym przełomie tego lata. Zamiast entuzjastycznego nastroju wyruszenia w nową drogę obserwowałem zdyscyplinowane cierpienie, sceptyczne wy-czekiwanie, roztrzone zajmowanie się niezmiernie uciążliwymi warunkami codziennego życia. Rozumiem głębokie wyczerpanie Waszego narodu, od stuleci osłabianego przez podziały, przesładowania, niesprawiedliwość, a w ostatnich pięćdziesięciu latach scenę, miejsce, przedmiot i ofiarę szatańskiej nikczemności, do jakiej ten rodzaj ludzki

okazał się zdolny. Nie mogło stać się inaczej, niż się faktycznie w Polsce doczekano: powołanie w dużym stopniu swobodnie wybranego rządu i przecucie wolności mogą być postrzegane tylko jako pierwszy promyk nadziei przed zapuchniętymi oczami długo przetrzymywanego w ciemnościach, który niczego nie przeżywa bardziej, niż strachu przed jakąś nową marą.

W dziesiątkach osobistych rozmów opanowała mnie najgłębsza sympatia dla tych jednocześnie dumnych i sceptycznych, gościnnych i zawstydzonych, witalnych i letargicznych, spontanicznych, pobożnych i silnych, podobnie jak ja myślących bliźnich: czego dokonaliście dla gładkiego przeżycia i co osiągnęliście przez tych kilka tygodni lata 1989, jest niepowtarzalne w światowej historii! Zwartą, urządzoną, ideologicznie i militarnie umocnioną strukturę władzy tak traktowaliście za pomocą jedynie duchowych, moralnych środków (przez lata w ponadludzkiej cierpliwości i mądrości stosowanych), że dokonująca się w niej zmiana własnego poczucia wartości zmusiła ją do rozmów.

Teraz jesteście tak wyczerpani (a jednocześnie niedostatecznie fachowo przygotowani), że obiektywnie istniejącą wolność w samoorganizowaniu się nie może być w pełni wykorzystana.

Pytania większości z około stu polskich dyrektorów przedsiębiorstw, którzy uczestniczyli w „Dniach Menedżera” na Uniwersytecie w Lublinie (gdzie również ja wygłosiłem wykład, krążyły wokół paradoksalnego problemu: jak to jest, że „socjalizm”, który z założenia orientuje się na „potrzeby człowieka”, nie może ich zaspokoić, podczas gdy hołdująca „tylko zyskowi” gospodarka rynkowa zapewnia wolność osobistą i dobre zaopatrzenie.

Moje, z najwyższym zainteresowaniem zaakceptowane, spontanicznie sformułowane porównanie głosiło, że w rozwiniętej gospodarce działającej na zasadach konkurencji, „zysk” może być bezpośrednio stosowany w tak niewielkim zakresie, jak inne ogólne wartości, typu miłość czy pokój. Są one możliwe do rzeczywistego osiągnięcia — i w długim okresie niezmiennie — tylko pośrednio, dzięki uprzedniej szerokiej, wszechobejmującej pozytywnej działalności. „Marketing” wymaga pełnej zgodności z wymaganiami klientów, które ze swojej strony bezpośrednio bądź pośrednio służą egzystencjalnemu celowi ostatecznemu. Każde inne „zawłaszczenie” zysku jest sprzeczne z systemem, jest kryminalne, zostaje w odpowiednim czasie odrzucone przez gospodarkę „konkurencyjną”. W przypadku miłości czy pokoju pozbawione wcześniejszego wkładu zawłaszczenie jest perwersyjne i samo się ukarze przez immanentną niezdolność do odnawiania. (Moja, posiadająca fachową wykształcenie akademickie, tłumaczka podeszła po tym referacie do mnie i podziękowała za to porównanie potwierdzające również jej przekonania).

Ciągle zadawałem moim rozmówcom pytanie, co ja — jako nie posiadający wpływów w sferze polityki i finansów — mógłbym dzisiaj dobrego uczynić dla Polaków. Odpowiedź: dodać odwagi, wyjaśnić sens aktualnych trudności, pośredniczyć w stworzeniu zaufania do rządu.

A zatem: macie obecnie, drodzy Polacy, premiera z najbardziej ujmującą, ludzką, czcigodną twarzą wśród wszystkich polityków na świecie! Nie jest to żadna profesjonalna „twarz pokrzyżysty”, ale dobrotliwie i mądrze spojrzenie kogoś przez taki sam los doświadczony. Jemu powierzyłbym zawsze swój los.

Wasza gospodarka musi na tyle uzdrowić obecne groteskowe stosunki pieniężne, przez dokonanie nowego wartościowania pracy i towarów (któremu towarzyszy niestety przesadny wzrost cen), że staną się możliwe swobodne powiązania z gospodarką światową. Należy wykluczyć, że naród polski nie byłby zdolny, w warunkach nowoczesnego społeczeństwa i gospodarki, utrzymać się i wytwarzać samodzielnie równie skutecznie, jak inne demokracje europejskie.

Wąska furtka, która do tego prowadzi, nazywa się wydajność, racjonalizacja, marketing, prawa socjalne i informacja.

Na zakończenie stosowne osobiste wspomnienie o roku, tak tragicznie nieudanego ruchu odnowicielskiego w Czechosłowacji, 1968: poznałem wówczas (wpisywałem do rejestru w urzędzie meldunkowym mojego pierwszego syna) małżeństwo z dwójką dzieci, które właśnie zbiegło z Pragi, i od tego momentu przez prawie dwa miesiące opiekowałem się nimi. W tym okresie dla niego, jako lekarza, postarałem się o czasowe zatrudnienie w służbie zdrowia, dla niej (krawcowa) o zatrudnienie w sklepie futrzarskim, dla dzieci — o krótkie przyuczenie; później o przejściowe mieszkanie oraz niezbędne adresy i kontakty dla zapewnienia sobie przez nich przyszłości.

Mój wdzięczny mi gość powiedział wówczas, że dopiero teraz zrozumiał efektywność wolnego świata, ponieważ nawet on — chociaż polityczny przeciwnik systemu komunistycznego — rozumował zawsze w kategoriach ministerstw i urzędów, które musiał zajmować swoją osobą. Teraz stało się dla niego jasne, że sam musi się troszczyć o wszystkie informacje, kontakty, plany i środki.

Gdy zatem liberalizacja w sferze społecznej i gospodarczej otwiera pole do skutecznego działania, gdy dewiacyjne, wymuszone przyipywy i kolektywne deficyty zostają usunięte, to dziedziny te muszą być opanowane przez konstruktywnych ludzi i zostać zrekonstruowane i zagospodarowane. Te potencjały mogą być efektywnie uruchomione przez dziesiątki tysięcy inicjatyw, przez niezliczone, ekonomicznie prawidłowe indywidualne decyzje. Faktycznie, jak to powiedział szef Waszego rządu, pod względem materialnym będzie to odbudowa jak po wojnie. Nie uprawione pola, pastwiska bez trzód, praktycznie sparaliżowany system telefoniczny, tysiące fabrycznie nowych samochodów bez opon na składowiskach, niedostateczna wydolność poczty do odprawiania przesyłek zagranicznych, niepewna herbata na śniadanie, ponieważ do zapalenia kuchni gazowej brakuje zapalek... nie odpowiadają w żadnym razie prawdziwym możliwościom Polaków.

Moralna, materialna i fachowa solidarność i najgorętsze osobiste wsparcie mogą Was umocnić.

Harald Mandl  
Opracował i tłumaczył:  
Jerzy Węclawski

## INFORMATOR KULTURALNY

### TEATRY

#### W LUBLINIE

Teatr im. J. Osterwy: 5.01 godz. 18, 6-7.01 godz. 11, 18, 9-10.01 godz. 11, 18; „Betlejem polskie” Lucjana Rydla; reż. Andrzej Rozhin.

Teatr Lalki i Aktora: 6-7.01, 9-10.01 godz. 12; „Słowik” H. Ch. Andersena; reż. Tomasz Jaworski.

Teatr Muzyczny: 6-7.01, 9-10.01 godz. 19; „Baron cygański” J. Straussa.

### MUZYKA

#### W LUBLINIE

Filharmonia — 5.01 godz. 19, 6.01 godz. 18; koncert pt. „Popcorni karnawalowe”. Wystąpią: Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Lubelskiej pod dyrekcją Adama Nantana oraz Waldemar Malicki (pianista). Słowo — Stefan Münch. W programie: utwory z popularnych operetek i musicali, koncert fortepianowy F-dur George Gershwin, a także: Uwertura koncertowa „Dichter und Bauer” Fr. von Suppé; „Gdybym był królem A. Ch. Adama; „Nad pięknym miodnym Dunajem” J. Straussa; Suita z „West Side Story” L. Bernsteina.

### WYSTAWY

#### W LUBLINIE

Muzeum im. J. Czechowicza — wystawa Ilorytu Stanisława Baldygi.

Zamek Lubelski — wystawa pt. „Hej koleś, koleś...” (zimowe zwyczaje ludowe). Galeria BWA (ul. Narutowicza 4) — wystawa pt. „Galeria Labirynt 2 prezentuje: malarstwo, rzeźbę, instalację i fotografię” (wystawa zbiorowa).

Galeria Labirynt 2 (ul. Grodzka 3) — wystawa Joanny Przybyli (rysunki i instalacje).

Filharmonia (foyer) — wystawa rysunku Henryka Długosza.

Dworek Wincentego Pola — wystawa pt. „Wincenty Pol i Ludwik Zejszner — pierwszy profesorowie nauk o Ziemi Uniwersytetu Jagiellońskiego”.

#### W CHELMIE

Muzeum Okręgowe (ul. Lubelska 55) — wystawa rzeźby Adama Myjaka. Muzeum Okręgowe (ul. Lubelska 57) — wystawa pt. „Jaciwież i Litwa w okresie starożytnym i we wczesnym Sredniowieczu” (ze zbiorów Państwowego Muzeum Archeologicznego w Warszawie).

#### W ZAMOŚCIU

Nowa Siedziba Muzeum Okręgowego (Kamienice Ormiańskie 26/28) — wystawa pt. „Ocalone dla przyszłości”; wystawa pt. „Zamość — historia renowacji”.

## OGŁOSZENIA DROBNE

SAMOTNYCH zapoznaje Klub Korespondencyjny. Zamość, skr. 58.

1/P-2

POMOC organizacyjną przy zakładaniu przedsiębiorstw i spółek także z kapitałem zagranicznym (sprawy formalno-prawne, inwestycyjne, produkcyjne itp.) oferuje „Diamat” Sp. z o.o. 20-711 Lublin, ul. Hamleta 1, tel. 71-35-57.

24955/G-2

### NAUKA

LINGWISTA organizuje naukę języka węgierskiego, angielskiego i niemieckiego dla wyjeżdżających za granicę. Informacje i zapisy Lublin, ul. Strażacka 5, tel. 274-25.

29916/G-4

OŚWIATA w Lublinie organizuje kursy spawania elektrycznego i gazowego na uprawnienia dozoru Rs, Bs, w osłonie CO<sub>2</sub>, w osłonie argonu, przyuczające do zawodu w branży budowlanej, dziewiarskiej, krawieckiej, kosmetycznej, aerobik oraz inne w miarę potrzeby. Informacje i zapisy, ul. Strażacka 5, tel. 274-25 w godz. 8-15.

29916/G-4

## OBRONA PRACY DOKTORSKIEJ

DZIEKAN I RADA WYDZIAŁU HUMANISTYCZNEGO UMCS w Lublinie zawiadamiają, że dnia 15 stycznia 1990 r., o godz. 12.00, w s. 318 Kolegium Humanistycznego, odbędzie się publiczna obrona pracy doktorskiej mgra WIKTORA GONETA.

Temat pracy: „Factorial Analysis of the Duration of R.P. Monophthongs in Monosyllabic Words” („Czynnikowa analiza czasu

trwania monoftongów w standardowej angielszczyźnie w słowach jednosylabowych”). Promotor: prof. dr hab. Wiktor Jassem z Zakładu Fonetyki Akustycznej PAN w Poznaniu.

Recenzenci: prof. dr Jadwiga Sambor — UW, doc. dr Walerian Świeczkowski — UMCS. Praca została wyłożona do wglądu w Bibliotece Głównej UMCS, ul. Nowotki 11.

10373/K

## CZWARTEK 4 STYCZANIA PROGRAM I

8.35 Domator  
8.50 Domowe przedszkole  
9.15 Dt — wiadomości  
9.25 „Policjanci z Miami” — „Wielki McCarthy”  
10.15 Domator  
16.20 Program dnia i Telegazeta  
16.25 Dla młodych widzów: Kwiat oraz film z serii: „Świat, w którym żyjemy”  
17.15 Teleexpress  
17.30 Studio sport: Turniej Czterech Skoczni  
18.25 Magazyn katolicki  
18.45 10 minut  
19.00 Dobranoc: Dwa kosy kurek z ratuszowej wieży  
19.10 Interpelacje (1)  
19.30 Wiadomości  
20.05 „Policjanci z Miami” — „Wielki McCarthy”  
20.55 Interpelacje (2)  
21.35 Sport  
21.45 Pegaz  
22.30 Dt — echa dnia  
22.45 Język angielski (41)  
**PROGRAM II**  
16.50 Język rosyjski (11)  
17.20 Program dnia  
17.25 Skarby kultury polskiej: „Szlakiem piastowskich zamków” — film dok.  
18.00 Program lokalny  
18.30 Program public.  
19.00 Magazyn „102”  
19.30 Zielone kino: „Opowieść o kropki wody”  
20.00 Wielki sport: Turniej Czterech Skoczni  
21.00 Ekspres reporterów  
21.30 Panorama dnia  
21.45 „Pieskie popołudnie” — film fab. prod. USA.  
23.45 Komentarz dnia

## PIĄTEK 5 STYCZANIA PROGRAM I

8.35 Domator  
8.50 Domowe przedszkole  
9.15 Dt — wiadomości  
9.25 „Carscy kadeci” (1) — serial prod. ZSRR  
10.30 Domator  
16.20 Program dnia i Telegazeta  
16.25 Dla młodych widzów: Ramię — teleturniej  
16.50 Dla dzieci: Okienko Pankracego  
17.15 Teleexpress  
17.30 Raport  
17.55 „Druga strona obrazu” — film dok.  
18.25 Rzeczpospolita samorządna  
18.45 Weekend w „Jedynce”  
19.00 Dobranoc: Węgierskie bajeczki  
19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy  
19.30 Wiadomości  
20.05 Akademia filmowa: „Powiększenie” — film prod. angielsko-włoskiej.  
22.00 Sport  
22.10 Kontrapunkt  
22.40 Spór o jutro — otwarte studio  
23.40 Dt — echa dnia  
24.00 Spór o jutro — otwarte studio (cd.)  
**PROGRAM II**  
17.25 Program dnia  
17.30 Wzrostowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego  
18.00 Program lokalny  
18.30 O czym się mówi — program public.  
18.50 Program rozrywkowy  
19.30 Dookoła świata: Na największej rafie  
20.00 Magazyn „Piątek”

21.30 Panorama dnia  
22.00 „Piosenka niekochanego” — film fab. prod. franc.  
23.55 Komentarz dnia

## SOBOTA 6 STYCZANIA PROGRAM I

8.00 Tydzień na działce  
8.20 Na zdrowie  
8.55 Program dnia  
9.00 Drops — magazyn dla dzieci i młodzieży oraz film prod. jugosl. z serii „Jelonek” (9)  
10.30 Dt — wiadomości  
10.40 „Koncert na miliard paleczek” — film dok.  
11.10 Azymut  
11.40 Z Polski rodem — magazyn polonijny  
12.10 Telewizyjny koncert życzeń  
12.40 „Tryptyk z ziemi obiecanej” (1) — „Rzecz o fabrykach wspaniałych”  
13.10 Telewizyjny Teatr Prozy: Romain Rolland „Colas Breugnon”  
14.40 „Być reporterem” — Dymitr Bebabow — film dok.  
15.05 Film o miłości: „Trzeba zabić tę miłość” — film prod. pol.  
16.40 Rewizja nadzwyczajna — Prolog  
17.15 Teleexpress  
17.30 Studio sport: Turniej Czterech Skoczni  
18.30 Butik  
19.00 Dobranoc: Przygody Misia Colargola  
19.10 Z kamerą wśród zwierząt: Czego się boimy (2)  
19.30 Wiadomości  
20.05 „Siedmiu wspaniałych” — western prod. USA.  
22.10 Sport  
22.20 Tydzień w polityce  
22.40 Koncert spełnionych życzeń  
23.40 Telegazeta  
23.45 Kino sensacji: „Tajemnicza sprawa” — film prod. ang.  
1.10 Zakończenie programu **PROGRAM II**  
14.15 „Kavango — klejnot Kalahari” — „Poszukiwacze klejnotu” — film, przyr.  
14.45 „Ordy” — „Karol Darwin” — serial animowany  
15.10 Komputer komentuje  
15.15 Meandry architektury — Koronkowa robota  
15.35 Papierowa ceramika  
15.40 Wieloryby i delfiny  
15.45 Symbolizm w malarstwie polskim  
16.00 Bariery  
16.25 Studio sport  
16.55 Program dnia  
17.00 Musicale (2)  
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska  
18.30 Wielka gra — teleturniej  
19.30 Pozostał tylko siwy dym.. — relacja z I Międzynarodowego Przeglądu Cygańskich Zespołów Pieśni i Tańca  
20.00 Filharmonia „Dwójki”: Brahms — koncert fortepianowy d-moll gra Paul Badura-Skoda  
20.50 „Ukraina bez wytycznych” — reportaż  
21.15 Muzyka i polityka — Z Góry św. Anny  
21.30 Panorama dnia  
21.45 Continental Singers — amerykański młodzieżowy zespół instrumentalno-wokalny  
22.10 „Znowu w Brideshead” (1) — serial prod. ang.  
23.00 Jacek Stwora: Co jest za tym murem? „Dożywotka. Celebrak jestem...”

## NIEDZIELA 7 STYCZANIA PROGRAM I

8.55 Program dnia  
9.00 Dla młodych widzów: Teleranek oraz „60 urodziny myszki Milki” (4)  
10.30 Dt — wiadomości  
10.35 „Złoto” (4) — „Władcy złota” — serial dok. prod. wł.  
11.15 Kraj za miastem  
11.40 Przed rokiem, po roku, za rok (1)  
11.45 Telewizyjny koncert życzeń  
12.30 Teatr Młodego Widza — Ted Hughes — „Przypowieść głupca”  
13.35 Sportowa niedziela  
14.45 Przed rokiem, po roku, za rok (2)  
14.50 Morze — magazyn  
15.50 Antena  
15.25 Przed rokiem, po roku, za rok (3)  
15.35 „Panna dziedziczka” (34) — serial brazył.  
17.15 Teleexpress  
17.30 Przed rokiem, po roku, za rok (4)  
17.35 Telewizyjny Teatr Romaitości — Terece Feely „Jak w złym śnie”  
18.50 Przed rokiem, po roku, za rok (5)  
19.00 Wieczorynka: Siostrzeńcy kaczora Donalda  
19.30 Wiadomości  
20.05 „Ring” — film prod. pd.  
21.05 Śledem dni: Świat  
21.35 Sport  
22.15 Sadie Nine — program rozrywkowy  
22.45 „Dekalog, pięć” — film fab. TVP  
23.45 Zakończenie programu **PROGRAM II**  
9.20 Przegląd tygodnia (dla niesłyszących)  
9.55 Film dla niesłyszących: „Ring” — film prod. pol.  
10.50 Magazyn lotniczy  
11.20 Lokalny koncert życzeń  
11.45 Jutro poniedziałek  
12.13 Powitanie  
12.20 Polska Kronika Filmowa  
12.30 100 pytań do...  
13.10 Maciej Niesiołowski: Z batutą i z humorem  
13.25 Kino rodzinne: „Bajeczki” (2) — „Prawdziwa narzeczona” — serial prod. ang.  
13.50 Auto-Moto-Fan-Klub (wydanie specjalne)  
14.20 „Polacy” — film dok.

piece, kominki (2) — gawęda prof. Wiktora Zina  
16.10 Biografie: „James Dean — buntownik” — film dok. prod. wł.  
17.10 Studio sport  
17.30 Bliżej świata  
19.00 Wywiady Ireny Dziezdzic  
19.30 Galeria „Dwójki”: Andrzej Podkański  
20.00 Studio sport  
21.00 Hity z orbity  
21.30 Panorama dnia  
21.45 „Wojna i pamięć” (19) — serial prod. USA  
23.40 Komentarz dnia

## PONIEDZIAŁEK 8 STYCZANIA PROGRAM I

16.20 Program dnia i Telegazeta  
16.25 Luz — program nastolatów  
17.15 Teleexpress  
17.30 Gorące linie  
17.55 Wędrowki dalekie i bliskie: „Życie codzienne w epoce kamiennej” — film dok. prod. belgijskiej  
18.30 Szansa dla tywności — program public.  
18.45 10 minut  
19.00 Dobranoc: Kot Leopold  
19.10 W Sejmie i Senacie  
19.30 Wiadomości  
20.05 Teatr Telewizyjny: Tadeusz Różewicz „Spaghetti i miecz”  
21.50 Sport  
22.00 Kram z pamiętkami — kultura stanu wojennego  
22.45 Dt — echa dnia  
23.00 Język francuski (10)  
**PROGRAM II**  
16.55 Język angielski (12)  
17.25 Program dnia  
17.30 Antena „Dwójki” na najbliższy tydzień  
17.45 Ojczyzna — polszczyzna: Dzisiaj w Betlejem  
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska  
18.30 „Zmagania o Polskę” (1) — „Swego czasu” — serial dok. prod. ang.  
19.30 Muzyczne wizyty — Evelio Tiele (Kuba)  
20.00 Auto-Moto-Fan-Club  
20.30 Osądźmy sami  
21.15 Rozmowy o cierpieniu  
21.30 Panorama dnia  
21.50 „Heimat” (1) — serial prod/ RFN  
22.50 Komentarz dnia

## WTOREK 9 STYCZANIA

16.20 Program dnia i Telegazeta  
16.25 Dla dzieci: Tik-Tak  
17.15 Teleexpress  
17.30 Spojrzenia  
17.55 Klinika Zdrowego Człowieka  
18.15 System  
18.45 10 minut  
19.00 Dobranoc: Przygody kotka Damiana  
19.10 Boso, ale bez ostróg — program public.  
19.30 Wiadomości  
20.15 „Rzymianka” (3 — ostatni) — serial prod. wł.  
21.35 Sport  
21.45 Listy o gospodarce  
22.20 Leksykon polskiej muzyki rozrywkowej: „S”  
23.15 Dt — echa dnia  
23.35 Język rosyjski (12)  
**PROGRAM II**  
16.55 Język angielski (42)  
17.25 Program dnia  
17.30 Klub ludzi z przeszłością  
18.00 Program lokalny  
18.30 Modlitwa wieczorna z Sanktuarium Matki Boskiej Pszowskiej  
18.50 997 — wydanie specjalne dla młodzieży  
19.30 Kolorowy zawrót głowy — magazyn narcyjski  
20.00 Przeboje Bogusława Kaczyńskiego  
21.00 W kręgu sztuki: „Dzieje fotografii” (13 — ostatni) — serial dok. prod. ang.  
21.30 Panorama dnia  
21.45 Studio im. Karola Irzykowskiego: „Maskarada”.  
23.30 Komentarz dnia

## ŚRODA 10 STYCZANIA PROGRAM I

8.35 Domator  
8.50 Domowe przedszkole  
9.15 Dt — wiadomości  
9.25 „Zagubiona przeszłość” — film fab. prod. ZSRR  
10.50 Domator  
16.20 Program dnia i Telegazeta  
16.25 Dla młodych widzów: Sami o sobie S O S  
16.50 Dla dzieci: Cojak  
17.15 Teleexpress  
17.30 „Gry wojenne”  
17.55 Telewizyjny Informator Wydawniczy  
18.15 „Dawniej niż wczoraj”  
18.45 „10 minut”  
19.00 Dobranoc: „Wyprawa Baltazara Gąbki”  
19.10 Oferty „Pegaza”  
19.30 Wiadomości  
20.05 „Tytania, Tytania, czyli noc dublerów” — komedia prod. węgierskiej  
22.20 Sport  
22.30 „Plus — minus”  
23.00 Dt — echa dnia  
23.20 Język angielski (12)  
**PROGRAM II**  
16.55 Język francuski (10)  
17.25 Program dnia  
17.30 „a b c” — teleturniej językowy  
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska  
18.30 Magazyn „102” — Janusz Zaorski  
19.00 „Pokój niżej” (1) — serial prod. angielskiej,  
19.30 „Gdzie my, tam Polska” — reportaż  
20.00 „Czarno na białym” — przegląd PKF  
21.00 „Ze wszystkich stron” — magazyn reporterów  
21.30 Panorama dnia  
21.45 „Telewizja nocą”  
22.30 „Przyjaciele” (2) — „Czystość” — serial TVP  
23.55 Komentarz dnia

## BIURO TURYSTYKI

**TERGO TRAVEL**

POSIADA W CIĄGŁEJ SIĘZBIEZY IMPREZY DO:

CHEN, EGIPCI, IZRAEL, MAROKA, TAJLANDII, TUNEZJI ORAZ NEPAL-INDIA-PAKISTAN.  
PLANOWANE SA RÓWNIEŻ IMPREZY DO KENII, INDOZEZJI, NA MADAGASKAR A TAKŻE PODRÓŻ DOOKOŁA ŚWIATA

Zapisy i informacja:

Lublin, ul. Biernackiego 4, tel. 77-54-51.

15.00 Podróże w czasie i przestrzeni: „Wędrowki ludów nad Pacyfikiem” — serial dok. prod. australijskiej  
15.55 Być tutaj: Paleniska,

## PROGRAM I

8.35 Domator  
8.50 Domowe przedszkole  
9.15 Dt — wiadomości  
9.25 „Rzymianka” (3 — os-

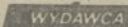
## relacje



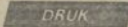
ADRES REDAKCJI  
20-029 LUBLIN, UL. M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ 2  
20-950 LUBLIN, SKR. POCZT. 231



TELEFONY  
• 215-57 • SEKRETARIAT RED. NACZELNY  
• 205-34 • SEKRETARZE REDAKCJI  
• 202-91 • 208-59 • 233-88 • DZIENNIKARZE •



WYDAWCA  
Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch”



DRUK  
Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.

Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach. Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa—Książka—Ruch” i urzędy pocztowe. Nr indeksu: 37409 PL ISSN 0660-8830.

# MÓJ ROK 1989

## Zbigniew Dzieciołek:

Dużo igrzysk (politycznych), mało chleba, najwięcej nadziei.

## Wiesław Horobik:

Nie wierzę w lata „chude” i lata „tłuste”. Rok to jednak wiele dni, całe bogactwo chwil. Owe wloty i upadki, radości i smutki, które czynią z życia tak podniecającą zabawę wydarzają się z częstotliwością o wiele większą niż co 365 dni. Jaki więc był mój rok 1989? Normalny; z odrobiną kłębki i odrobiną sukcesu. A jednak był to także rok niezwykły. Podmuchy międzyepoki rodzącej się w naszej części świata zamieniły się w wichry, popękały stare gmachy, choć nie zbudowano jeszcze nowych; nasz świat skazano, jak się zdawało, na niemrawą beznadzieję zaczął nieoczekiwanie nabierać cech normalności. Powstały „Relacje”. Jakże już wielu ludzi zapomniało, ile odwagi trzeba było jeszcze mieć rok temu. Te narodziny były też przeżyciem. Popsuła się solidarność międzyludzka. Nie tylko u nas. Wszędzie. Ludzka agresja, trzymana na wodzy z obawy przed samozagładą pęcznieje w człowieku, rozlewa się, przytłacza, odbiera spokój. Zdeptano znów kilka miejsc, w których człowiek mógł się poczuć dobrze. Zawiść, małość trzymały się jak zawsze mocno. A jednak udowodniłyśmy także światu, że my — Polacy wcale nie musimy być „drożdżami niepokoju” w Europie. Choćby przez mozolne wykuwanie demokracji w parlamencie, choć i w nim nie brak głupców. Historykowi ten rok przysporzy mnóstwo pracy. A jednak wciąż podejrzewam, że złożony na dni, godziny i chwile, był to rok, jak inne. Taka sobie część przemijania.

## Adam W. Kulik:

Szalony rok, wydarzyło się tyle, że mógłbym obdzielić trzy lata.

W kraju: odkryłem jeszcze jedno powstanie (sejneńskie), na którego temat milczą podręczniki — ułkon w stronę docentów amnezjologów piszących historię. Po raz pierwszy w życiu zetknąłem się, właśnie w Sejnach, z polskim szowinizmem w najgorszym wydaniu: mamy kolonię — nie udało się przed wojną w Kamerunie, wyszło teraz w północno-wschodnim zakątku Polski, który zajmują trzy gminy zamieszkałe przez Litwinów. (Będzie osobny reportaż).

Wystarczyło, że wyjechałem za granicę na 20 dni: upadł komunizm, sformował się pierwszy od 44 lat niekomunistyczny rząd, dolar skoczył z siedem dwadzieścia na piętnaście tysięcy, płaca (nominalnie) ze 130 na 300 tysięcy (już nieaktualne) — siedzieć czy częściej wyjeżdżać?

W Azerbejdżanie wbrew swojej woli zostałem mianowany przez tubylców korespondentem z Polski. Poczułem, że i tu muszę odkręcać bieg nie tyle historii, co propagandy: nie jest prawdą, jak się trąbi w świecie, że po raz któryś leją Ormian. Tym razem to oni leją wylewając oleje przekłamań (znovu szowinizm!).

Prywatnie: „Iskry” przyhamowały książkę, która miała wyjść we wrześniu, zacząłem następną — rozped był tak dobry, że dojechałem do połowy, zamieniłem mieszkanie (na gorsze), zmieniłem pracę (na lepszą), żona wciąż ta sama, zostałem milionerem, kupiłem kanapę — po milionach.

## Henryk Pajk:

Absolutny pewnik: o rok bliżej końca świata.  
W kosmosie: dziura ozonowa coraz większa.

Na ziemi: Niemcy prą naprzód, Rosjanie cofają się. Polacy cieszą się, frajerzy

W obozie („socjalistycznym”): jakies wrzaski, zbiegowiska, przepychanki. Nic z tego nie rozumiem.

W Polsce: wiało nudą. Wszystko jak przewidziałem — upadek komunistów, rozpad „Solidarności”, Żydzi oraz cykliści (Halupczok) znów górą!

W kulturze: najazd Hunów. Pała książki, biblioteki, teatry oraz czarownice.

W Lublinie: już bez Bieruta. Choć tyle.

W „Relacjach”: jak na „Titanicu”. Orkiestra już po szyję w wodzie, ale do końca gra wesołe kuplety.

### Prywatnie:

— 25-lecie pożycia. Laurka od prezydenta miasta. Obluda.

— rosnąca pogarda żony po każdej nowej wypłacie;

— synowie już nie mówią o mnie inaczej jak: „Ten Henio!”.

— wydałem nową powieść. Jest rozchwytywana. Przez autora.

## Maciej Podgórski:

Co i kto kojarzy mi się z 1989 rokiem?

— Samobójcze gole, jakie strzeliła sobie PZPR przed czerwowymi wyborami i w trakcie tych wyborów.

— Rozsypywanie się nienormalnego systemu, narzuconego Polsce z zewnątrz, represyjnego i sprzecznego z naturą człowieka (choćby z instynktem posiadania, ale i potrzebą perspektywy eschatologicznej). To dopiero początek. Koniec nieznan.

— „Solidarność”, która ostatnio zdaje się gubić złoty róg w zgłębku familii, dworów, świt, komatantów itp. Jeśli nie masz się z kim pokłócić, to go sobie poszukaj, a jak nie możesz go znaleźć, to go sobie wymyśl. Oczywiście nie ma nic lepszego do roboty.

— Parlament, w którym na posiedzeniach niekiedy więcej nieobecnych niż obecnych. I po co temu narodowi demokracja?

— Faceci, którzy twierdzą, że burzenie pomników jest barbarzyństwem, a zapominają, że jeszcze większym barbarzyństwem było stawianie pomników sługom i oprawcom.

— Faceci, którzy ostatnio, pisząc nawet o dupie — Marynie, uważają za swój obowiązek dopieprzyć „czerwowym”, choć to już żadna odwaga.

— Nadzieja, że zachodni biznesmeni przylecą stadem do Polski, aby tu robić „znakomite interesy” — przy naszej „telekomunikacji” i naszym „systemie podatkowym”! W ogóle nadzieje, że Zachód skutecznie nam pomoże, choćby we własnym interesie. Tę lekcję już przerabialiśmy w 1939.

— „Sowieci do domu!”. Ale jeśli oni wyniosą się z NRD i alianci zachodni wyniosą się z RFN, to powiecie zgroza, bo Niemcy zaczynają się jednoczyć. A ja mam taki światopogląd, że nie wierzę Niemcom zjednoczonym i niekontrolowanym. Ja nawet nie wierzę Niemcom niejednoczonym i kontrolowanym, skoro NRD-owcy za własne kłopoty gospodarcze represjonują u siebie polskich turystów i polskich pracowników kontraktowych.

— Litwini, którzy uważają, że Polacy żyjący na Litwie to są spolonizowani Litwini. W takim razie Adam Mickiewicz też był Litwinem (Białorusini twierdzą, że Białorusinem), bo napisał: „Litwo, ojczyzno moja” Zaś Wileńszczyznę przyłączył do Polski w

roku 1920 niejaki Josef Pilsudski, chytry Litwinuska, zdrajca narodu litewskiego. W ogóle wszyscy są Litwinami.

— Faceci, którym się wydaje, że są cwani, dlatego wciskają mi ciemnotę i są przekonani, że kupiłem. Nie od wczoraj wiadomo, że cwaniak na własny numer najprędzej nabierze samego siebie.

## Waldemar Stępień:

Zawodowo: Dziękuję, coraz gorzej. Relatywnie przepłynął mój rok w pejzażu doliny między powodami do przeżycia a powodami do samobójstwa — między prozą życia a poezją fotografii. To co było — żyje we mnie i nie da się wymazać.

Wróciłem rok temu do ulubionego zawodu, w którym nie widzieli mnie ówczesni, byli zatrudnieni (pracodawcą byłem ja), podziwiający obłudnie moje fotografie („wiecie, redakcja wysoko ocenia Waszo prace, ale tu mnie mówio, że macie jakieś pańskie maniere”). Byłem już zmęczony — tzw. moralne zwycięstwa też kosztują. Fotoreporterów krzywdzi czas. Codziennie układam katalog tematów fotograficznych i pojedynczych, których już nie zdążę wykonać i opublikować.

Mimo problemów, w których przecież nie ja jeden żyję, nie powinienem nudzić Czytelników moim cmentarzem przemysłów, zapelnianym coraz gęściej umarłymi żądzami, ideami, ludźmi — ale jeśli ma to nas zbliżyć, bądźcie cierpliwi.

W snach, które są podobno obrazami tamtego i przyszłego świata, mieszają mi się dawne „dziennikowe” lęki dotyczące rzekomego braku „wycucia politycznego” z dumą ciętrzewia, którego kwieciste kompozycje skrywają zrutynizowaną poprawność techniczną; osadź, jak często Czytelniku, nie będący zoilem. Dostępuję niekiedy rozgrzeszenia ogólnego, ponieważ jest faktem, że czasem udało mi się zobrazować rzeczy i sprawy nieznanne lub zapomniane, niezauważone bez moich zdjęć.

Fotografia, sztuka konkretna jest owocem życia i tylko ono może być jej obiektywnym sędzią.

Brakuje mi sprzętu, materiałów i sponsorów fotograficznych. Coraz szerszej otacza nas fotogeniczny, choć groźny kokon chamskiego, pospolitoci, niedostatku i młodocianego rzępolenia. Na szczęście nie jest coraz teledurniej. Fotografowanie naszego świata — to społeczny komentarz niebezpiecznych zjawisk, wymykających się dotychczasowej skali ocen. Ucieczka w „obrazki i pięknoty fotograficzne” — staje się rujnąjącą materialnie zabawą. A przecież kulturę fotograficzną społeczeństwa tworzą amatorzy, którym czyniąc swoje powinności, chciałbym przypomnieć zyczliwe słowa Jana Bułhaka: „Dalecy, Nieznani Przyjaciele — fotografujcie sercem”.

Prywatnie: Najbezpieczniejsze przed obiektywami fotoreporterów kobiety, to jak twierdzi Jan Kosidowski — są ich żony, które, choć też są córkami obcych rodziców, skarżą się na brak zdjęć. Dzieci i zdjęcia dzielą się na: dobre i podobne. Małe dzieci nie dają spać, duże — żyć.

Rocznica (26 już) zawarcia ślubu, upewniła mnie w wyznawanej od lat niepoznawalności kobiet, które z najdziwniejszego z grzechów czynią sobie, a czasem i innym solidną przystań życiową, duchową, materialną i amoralną (Amor). Dźwigają one na swych barkach ciężar rozniecania ogniska domowego, utrzymywania jego temperatury, zwłaszcza gdy w domu czeka nas mróz miły. Bywają muzami, „Naszych Dzieci Matkami”, pozwalając

nam dźwigać krzyż gwiazdowości, której rzadkie i nietrwale sukcesy zmieniają się w nienawistną obsesję wspomnień, którą nie można się z nikim podzielić. Wiek godzi małżonków, których oręż zestarzał się pośród ciągłych rokowań pokojowo-rozwodowych (grozisz, czy obiecujesz?), doprowadzając do utrzymania stosunków poprawnych, bez stosunków. Moja żona modna i dorodnie dorosła synowie postarzają mnie, wpędzając mnie w amplitudę stanów maniackalno-depresyjnych, mnie — niegdys pana zamku rodzinnego, spauperyzowanego obecnie do stanu zbioru mitów i automitów, zniszczonego przesadną autoadoracją.

Patrząc w przyszłość z umiarkowaną nadzieją, powtarzam za Agatą Christie. „Jeśli nie możesz prowadzić lokomotywy, zostań przynajmniej smarowaczem kół.”

## Leszek Wiśniewski:

Kiedy zrezygnowany, pełen rozterek, wynikłych z akcji likwidacyjnej Związku Literatów Polskich Jan Józef Szczepański przyjechał w 1982 roku do Kazimierza, by podzielić się swoimi zgryzotami ze swoim wiekowym wujkiem, ten miał mu odpowiedzieć: „Jasiu, jaki ty jesteś głupi! Ja któregoś dnia obudziłem się i nie było już cesarza Austro-Węgier, cesarza Niemiec i cara Rosji, a ty się martwisz!” Powtarzałem sobie tę, nie wiem czy wiernie przytoczoną historię, przez te wszystkie smutne lata przymusowej dziennikarskiej bezczynności. Stało się! Bogowie upadli na twarz. W swym posagowym majestacie. Wróciłem. I dobrze mi tak! Nie ma nic gorszego, jak żyć w ciekawych czasach. Nie ma nic wspanialszego, jak żyć w ciekawych czasach!

Zyję oddychając pełną piersią, chłonąc pełnym umysłem, co i raz przecierając oczy ze zdumienia i niewyspania. O tym roku z pewnością nie będzie można powiedzieć, że był. Moje typy:

Największe zaskoczenie: Rząd Tadeusza Mazowieckiego

Największa satysfakcja: Oczyszczenie Lecha Wałęsy z zarzutu kradzieży papieskich pieniędzy

Największe rozbawienie: Minister Jacek Kuroń w garniturze.

Największa przyjemność: Wspaniała polszczyzna inauguracyjnej mowy sejmowej Bronisława Geremka.

Największa przykreść: Ja sam.

Największe zmartwienie: Nie mam tyle pieniędzy, ile chciałbym mieć.

Wiadomość roku: „Otwarcie” muru berlińskiego.

Człowiek roku: Vaclav Havel.

Zbrodniarz roku: Nicolae Ceausescu.

Dowcip roku: Dlaczego dwóch Polaków pcha teczkę? Bo trzeci jest na zwolnieniu lekarskim, a czwarty na urlopie.

Największa niewiadoma: Rok 1990. Poza tym był to naprawdę rok niezwykły i niezapomniany: Okrągły Stół, jesienna „Wiosna Ludów” — Wschodniej Europy, Plac Niebiańskiego Spokoju(?), drożyzna, premier w Katyniu, Gorbaczow w Watykanie, pijani berlińczycy, mądrzy, zdziżeni Polacy, dzielni Czesi, zmasakrowani Rumuni, Panama wypowiada wojnę Stanom, Ukraińcy chcą tryzuba i Przemysła, Litwini nie chcą Moskwy, Rosjanie Semipalatynska, ludzie nie chcą przemocy ani komunizmu. Odwrotna proporcjonalność politycznej, ludzkiej, zawodowej a prywatnej satysfakcji. Oby przyszły był nie gorszy od minionego...

W NUMERZE 2  
OPUBLIKUJEMY:

● WYWIAD Z DOWÓDCĄ DYWIZJONU 303 ● SKOK NA PLEBANIĘ ● PRZECIEKI Z „GUARDIANA” ● TAXI-KOMBAJN ● ZMIERZCH BLASKU ZŁOTA ● KRÓTKI KURS PODATKOWY ● KREW NA ARENIE ● „CICHOCIEMNI” ● BARON NA SCENIE